# PRO CHRISTO
## WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK
Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI
Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.
Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.
P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17
Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19
Rękopisów redakcja nie zwraca.

# Pro Christo...

Nie ulega wątpliwości, że katolicyzm w Polsce znajduje się w okresie przełomowym i najbliższe już lata zadecydują o jego położeniu i znaczeniu na terenie państwa i społeczeństwa polskiego na długi może okres czasu.

Zagadnienie, postawione w ten sposób, wymaga kilku słów wyjaśnienia. Wiemy o tem, że zarówno wśród potężnych i wyposażonych w rozległe wpływy w kraju ugrupowań lewicowych, jak i wśród bardzo wpływowych sfer, zbliżonych do obecnego systemu rządów, kiełkuje już od dłuższego czasu myśl przebudowy podstaw prawnych Rzeczypospolitej według wzorów państwa świeckiego. Jedni głoszą to, jako swój program, akcentując go w sposób radykalny i jaskrawy, drudzy są bardziej ostrożni i umiarkowani w swoich projektach i wystąpieniach zewnętrznych, nie zmienia to jednak faktu, że jedni i drudzy razem tworzą obóz antyreligijny, który konsoliduje się coraz bardziej i mobilizuje, wyczekując tylko wygodnego momentu do decydującego ataku na najważniejsze twierdze katolicyzmu: rodzinę, szkołę i konkordat.

Moment taki nastąpiłby niewątpliwie, gdyby np. podczas następnych wyborów do ciał ustawodawczych żywioły lewicowo-radykalne i liberalno—masońskie, które w danym wypadku musimy w naszym rozumowaniu sprowadzić do jednego mianownika, wyszły z walki wyborczej jeszcze bardziej wzmocnione, niż do-

tychczas i rozporządzały w parlamencie zdecydowaną większością. Wówczas mogłoby się zdarzyć, że nawet najważniejszy postulat naszej polityki zagranicznej: unikanie wstrząsów i konfliktów na terenie międzynarodowym—nie powstrzymałby zapędów gorętszych zwolenników zerwania konkordatu ze Stolicą Apostolską, nie mówiąc już o ustawodawstwie małżeńskim, którego projekt akatolicki leży już prawdopodobnie zupełnie gotowy w Komisji Kodyfikacyjnej i nawet w tej kadencji stać się może tematem obrad parlamentu.

Jeżeli zaś już w obecnym Sejmie — według zdania poważnych działaczy katolickich — jest możliwe uchwalenie projektu ustawy, przewidującej śluby cywilne — jakie możliwości staną przed Sejmem następnym, jeżeli żywioły antyreligijne wejdą do niego wzmocnione, co za pole do popisu otworzy się przed p.p. Czapińskimi, Putkami i innymi tutti quanti, gdy barbarzyńskie ich projekty, o których pisaliśmy w poprzednich numerach „Pro Christo", będą zastosowane w ustawach państwowych!

A zważmy, że poza dziedziną prawną istnieje dziedzina życia praktycznego, która wypełnia materjalnie treść formalną ustaw. Otóż możliwości i konjunktury życia praktycznego przedstawiają się jeszcze gorzej. W poprzednim numerze pisaliśmy o radykalno-ateistycznej agitacji szerzonej wśród nauczycielstwa szkół powszechnych przez t. zw. „Koło uczniów prof. Spasowskiego". Nie będziemy cytować dalszych faktów, zaznaczymy tylko, że natężenie i zakres agitacji komunistycznej wśród młodzieży robotniczej stale wzrasta, co łączy się z ogólnym nastrojem demoralizacji, panującym wśród niektórych sfer młodego pokolenia, dalej, że działalność T. U. R-u i organizacji do niego zbliżonych, które wprawdzie są organizacjami socjalistycznymi, ale robota ich jest wodą na młyn komunistyczny—w ostatnich latach również wydatnie się wzmogła, co wykażemy cyframi w następnym numerze „Pro Christo".

Fakty te nie są tajemnicą dla wielu katolików w Polsce, którzy już od dłuższego czasu myślą z niepokojem o teraźniejszości, a z prawdziwym przerażeniem o przyszłości, zastanawiając się nad środkami zaradczymi.

* * *

Sytuacja jest niewątpliwie poważna. Nie wolno jednak oddawać się pesymizmowi, ani rozkładać bezradnie rąk. Za-

den z zasadniczych bastjonów katolicyzmu nie wpadł jeszcze w ręce wroga i dalibóg nie wpadnie bez długiej i zaciętej walki o każdą piędź ziemi. Na razie widzimy tylko rozwijające się szyki nieprzyjaciela, gotującego się do ataku na nasze pozycje. Widok ten nie powinien osłabiać w nas serca i odbierać ducha. Katolik nie może być tchórzem i niedołęgą! Nie wolno mu kompromitować sztandaru przy którym stoi!

Przeciwnie, analiza stanu faktycznego winna wzbudzić naszą energję i gotowość do walki, które u wielu katolików są w stanie uśpienia. Nie zamykajmy oczu na fakt, że sytuacja może uledz zawsze zmianie na lepsze, a to zależy w dużym stopniu od nas, inteligencji katolickiej.

Że tak jest — na to mamy dowody. W r. 1927 funkcjonował w Warszawie jeden oddział Chrześcijańskiego Uniwersytetu Robotniczego, w r. b. mamy już w rozmaitych miastach dziewięć oddziałów tej pożytecznej instytucji, która, przeciwstawiając się szkodliwej działalności T.U.R-u, prowadzi systematyczną akcję kulturalno-oświatową wśród robotnika polskiego. Gdyby w poszczególnych miejscowościach znalazła się większa ilość inteligencji katolickiej, gotowej z Ch.U.R-em współpracować—liczyłby on obecnie nie 9, a kilkadziesiąt oddziałów, rozsianych po całej Polsce i stanowiłby poważnego konkurenta T.U.R-u w walce o duszę robotnika polskiego.

Weźmy drugi fakt. W tym samym numerze „Pro Christo" w dziale: „z życia młodzieży katolickiej" znajdziemy sprawozdanie z pierwszego zjazdu delegatów Chrześcijańskiego Związku Młodzieży Pracującej „Odrodzenie". Organizacja ta, założona została w r. 1927 z inicjatywy kilku senjorów „Odrodzenia", a już w r. b. na wymienionym zjeździe reprezentowanych było około 20 kół, rozsianych po takich centrach robotniczych, jak Warszawa, Łódź, Zawiercie, Zduńska Wola, Radom, Pruszków i t. d. W ciągu dwóch lat kilku ludzi zdołało stworzyć zawiązek silnego katolickiego ruchu wśród młodzieży robotniczej na terenach najbardziej zagrożonych przez socjalizm i komunizm bez środków finansowych, bez pomocy ze strony społeczeństwa katolickiego.

Pomyślmy, jakie rezultaty osiągnęłaby ta organizacja, gdyby znalazły się dla niej odpowiednie środki i pomoc w odpowiednim zakresie!

Fakty te dowodzą, że mimo niesłychanych wysiłków zorganizowanych ugrupowań antyreligijnych (a pamiętajmy, że wszystkie swoje rezultaty osiągnęły one długą i uciążliwą pracą) — społeczeństwo polskie, a w szczególności jego warstwy pracujące można *jeszcze* zorganizować pod sztandarami katolicyzmu i poprowadzić do wielkich czynów w imię Chrystusa i Ojczyzny. Tylko, że jak powiedział Wyspiański:

„panowie mogliby mieć,
tylko oni nie chcą chcieć!"

Trzeba zdobyć się na wolę i energię czynu. Trzeba wyzbyć się psychologji hr. Henryka z „Okopów św. Trójcy", a imać się bardziej nowoczesnych i skutecznych metod pracy.

Pamiętajmy, że Polska nie będzie katolicką bez zorganizowania mas ludowych pod sztandarami katolickimi. Pamiętajmy, że chłop i robotnik chcą dwóch rzeczy naraz: 1) religji katolickiej 2) obrony praw zawodowych i polepszenia bytu materjalnego. Tragedją ludu polskiego jest fakt, że ci którzy pracują rzekomo nad polepszeniem jego bytu, czynią to metodami pogańskimi i są wrogami religji i Kościoła.

Tylko ideologja katolicko-społeczna oparta o wiekopomną Encyklikę Rerum Novarum rozwiązuje zagadnienie w sposób wykończony, ona bowiem daje ludowi religję, a równocześnie właściwe metody pracy nad polepszeniem bytu materjalnego, zgodnie z zasadami katolickimi. I dlatego lud polski garnie się chętnie pod sztandary chrześcijańsko-społeczne, czego dowodem chociażby szybki wzrost Ch. U. R-u i Ch. Zw. Mł. Prac. Odrodzenie i *garnął by się znacznie chętniej i liczniej, gdyby znajdował pod nimi większą, niż dotychczas liczbę inteligencji katolickiej, chcącej pracować społecznie.*

Niech więc pamięta ta część inteligencji katolickiej, którą do tej pory cechuje obojętność wobec zagadnień pracy społecznej — że ręka polskiego ludu do niej wyciągnięta, nie może długo wisieć w powietrzu! Jeszcze kilka lat obojętności i bezczynności ze strony inteligencji, a powstaną ciężkie konsekwencje, za które odpowiedzialność spadnie na barki współczesnego pokolenia.

*Stefan Kaczorowski.*

# Msza wiernych.

III.

Nazwa ta dana jest części Mszy św. od ofiarowania aż do końca.

Jest to właściwa ofiara.

Trzy rzeczy się składają na doskonałość ofiary właściwej: ofiarowanie czyli przygotowanie do aktu ofiarnego przedstawieniem darów chleba i wina. Działanie, czyli akt ofiarny, który wyniszcza ofiarę i daje w niej udział przez komunję. Nakoniec dziękczynienie, które ją zakańcza.

Przypomnijmy, że ofiara św. ofiarowana jest Panu Bogu nietylko przez samego kapłana, ale i przez wszystkich obecnych. Jest to ofiara całego zgromadzenia wiernych. Akt wspólny powinien streszczać uczucia wszystkich, ale trzeba też, aby wszyscy, którzy biorą w nim udział z nim się łączyli, jednocząc się ze swym przedstawicielem widzialnym-kapłanem i ze swym przedstawicielem niewidzialnym—Chrystusem.

Niema prawdziwej ofiary bez uczestnictwa w przedmiocie ofiarowanym.

Stąd racja bytu komunji w czasie mszy św. Tu jest jej właściwe, jedyne miejsce. Jednoczymy się z Chrystusem wyniszczonym, z Chrystusem—ofiarą.*)

§ I. Ofiarowanie.

„Credo", lub też gdy nie jest odmawiane, Ewangelja — skończona.

Kapłan odwraca się i mówi „Dominus vobiscum". Chwila staje się uroczystą.

Kapłan mówi głośno: „Oremus".

Czy jest to wspomnienie nieistniejącej już modlitwy? Czy też wezwanie, aby zdwoić gorącość ducha? Możemy robić

---

*) Dawniej tylko chrześcijanie mogli być obecni na mszy św. Przed ofiarowaniem odprawiano katechumenów. Nie należąc jeszcze do Ciała Chrystusowego, do jedynego, prawdziwego Kapłana, nie mogli składać ofiary z Nim i z wiernymi. I dziś jeszcze nieochrzczeni nie powinniby pozostawać w kościele począwszy od tej chwili.

tylko przypuszczenie odnośnie do milczenia, które następuje po „Oremus".

Już podczas Credo djakon poszedł przynieść bursę zawierającą korporał i rozłożył go na ołtarzu.

Powiedziawszy „oremus" kapłan odmawia pocichu antyfonę oznaczoną w mszale nazwą „ofiarowania".

Żeby dobrze zrozumieć przyczyny tego ofiarowania przypomnijmy krótko ceremonję ofiary.

Była to chwila, gdy wierni przedstawiali kapłanowi dary przeznaczone, albo na ofiarę, albo do jego osobistego użytku.

Część tych darów oddzielano na ofiarę.

Chleby nie konsekrowane były pobłogosławione i rozdane przez kapłana, lub djakona zaraz po komunji tym wszystkim, którzy nie mogli przyjąć Eucharystji św. Posyłano je też nieobecnym. Ten chleb święcony znakiem był jedności dla chrześcijan. Wzajemnie darowywano go sobie. Czy nie stąd powstał zwyczaj dzielenia się opłatkiem w wigilję Bożego Narodzenia?

Aż do XI w. chleb i wino były w ten sposób ofiarowywane przez wiernych. Można jednak też uważać za ofiarę jałmużnę, na intencję mszy św. daną księdzu, który ją odprawia.

Ślady tych ofiar istnieją jeszcze w niektórych ceremonjach liturgicznych, konsekracji biskupów, wyświęcaniu opatów, ordynacji kapłanów, poświęceniu dziewic i polegają na ofiarowaniu świecy podanej celebrującemu.

W czasie ceremonji ofiarowania śpiewano antyfonę i odpowiadający jej psalm.

Co do melodji ofiarowanie stanowi część najbogatszą śpiewu gregorjańskiego. Głębsze i więcej mistyczne niż introit i graduał, ofiarowanie przygotowuje duszę do skupienia, w którem ją zastać powinna tajemnica przedziwna mająca się odnowić.

Gdy kapłan powiedział „oremus", subdjakon w czasie mszy uroczystej odchodzi, aby włożyć na ramiona długi welon nazwany humerałem, bierze kielich z pateną i hostją i wstępuje prosto do ołtarza—za nim idzie akolita z winem.

Wczasie mszy cichej kapłan tylko kielich odkrywa.

Djakon bierze z pod welona subdjakona kielich z pateną i podaje tę ostatnią z hostją kapłanowi.

Hostja leży na patenie lub talerzu z drogocennego metalu. Dawniej patena była o wiele większą i mogła objąć kilka małych chlebów.

Celebrujący bierze patenę z rąk djakona i podnosi ją do wysokości oczu.

Jest to ofiarowanie chleba czyli hostji. Zdaje się mówić Bogu: oto jest ofiara przygotowana, zechciej wejrzeć na nią łaskawie.

„Suscipe, sancte Pater omnipotens, aeterne Deus, hanc immaculatam Hostiam, quam ego indignus famulus tuus offero tibi Deo meo, vivo et vero, pro innumerabilibus peccatis et offensionibus et negligentiis meis, et pro omnibus circumstantibus, sed et pro omnibus fidelibus christianis vivis atque defunctis: ut mihi et illis proficiat ad salutem in vitam aeternam. Amen.

Przyjmij, Święty Ojcze wszechmogący, wieczny Boże, tę niepokalaną Hostję, którą ja, niegodny sługa Twój, ofiaruję Tobie, Bogu mojemu, żywemu i prawdziwemu za niezliczone grzechy, przewinienia i niedbalstwa moje i za wszystkich obecnych, a także wszystkich wiernych chrześcijan żywych i umarłych: aby tak mnie, jak i im posłużyła ku zbawieniu wiecznemu. Amen.

Dawniej całe ofiarowanie odbywało się w milczeniu.

Modlitwa w czasie ofiarowania hostji zwrócona jest do Ojca niebieskiego.—Ofiara jest hołdem stworzenia. Dzieło zaś stworzenia jako „przynależność"*) przypisywane jest w szczególny sposób Bogu Ojcu tak, jak wszystkie dzieła wszechmocy Bożej.

Jezus Chrystus, żyjąc na ziemi, ofiarował samego siebie Ojcu.

Kapłan przejęty jest niegodnością swoją przed tym Bogiem, którego jest przedstawicielem. Obowiązkiem jego modlić się naprzód za siebie i prosić o oczyszczenie z winy wszelkiej; modlić się następnie za obecnych a nakoniec za Kościół cały, Kościół wojujący i Kościół cierpiący. W ten sposób wszyscy udział mieć będą w mocy tej ofiary, ponieważ Chrystus śmierć poniósł za wszystkich.

---

*) T. j. przyznanie jednej z osób atrybutu doskonałości, czy czynności właściwej wszystkim trzem osobom.

Nie jest to wspaniała modlitwa?

Dojdźmy do tego aby ją odmawiać razem z kapłanem — uczujemy odrazu jak modlitwa nasza staje się szeroką i nie ogranicza się do pobożności egoistycznej i osobistej.

Kapłan składa hostję na ołtarzu, czyniąc pateną znak krzyża.

Tymczasem djakon wlewa wino do kielicha poczem subdjakon dodaje kilka kropli wody, którą kapłan błogosławi.

Co oznacza to zmieszanie wina z wodą? Jest to jeden z najstarszych obrządków ofiary świętej. Niektórzy widzą w tem naśladowanie Jezusa Chrystusa, który konsekrował przy Ostatniej Wieczerzy kielich wina, w którym wedle zwyczaju żydowskiego znajdowało się trochę wody. Jest też i inna przyczyna.

Wino i woda wyobrażają krew i wodę, które wytrysły z przebitego włócznią boku Chrystusa. Ale przyczyna najgłębsza jest wyrażona w modlitwie, którą kapłan odmawia, błogosławiąc wodą:

„Deus, qui humanae substantiae dignitatem mirabiliter condidisti, et mirabilius reformasti: da nobis per hujus aquae et vini mysterium, ejus divinitatis esse consortes qui humanitatis nostrae fieri dignatus est particeps, Jesus Christus, Filius tuus Dominus noster, Qui tecum vivit et regnat in unitate Spiritus Sancti Deus per omnia saecula saeculorum Amen.

Boże, któryś cudownie godność natury ludzkiej stworzył, a jeszcze cudowniej naprawił, daj nam przez tajemnicę wody i wina, abyśmy się stali uczestnikami Bóstwa Jego, który raczył stać się uczestnikiem człowieczeństwa naszego—Jezus Chrystus, Syn Twój, Panie Nasz, który z Tobą żyje i króluje w jedności Ducha św. Bóg: na wieki wieków. Amen.

Zmieszanie wina i wody w ofierze, którą kapłan składa, wyobraża tajemnicę zjednoczenia osobistego Przedwiecznego Słowa z człowieczeństwem świętem. Wino wyobraża naturę Boską, woda—naturę ludzką. Z tej pierwszej tajemnicy, najgłębszej, wypływa druga tajemnica zjednoczenia naszego z Synem Bożym.

Była to myśl droga czcigodnemu kardynałowi Mercier. „My jesteśmy" mówił „tą małą kroplą wody, którą kapłan

wlewa do kielicha". Rzeczywiście, ta kropla wody, która utonie w nieskończoności Bóstwa Chrystusowego — to my. On jest winną macicą — myśmy winoroślami. On jednocześnie sokiem, który daje życie. On jest rzeczywiście głową, my rzeczywiście członkami tego wielkiego ciała, którem jest Kościół sw., w którym żyje tylko ten, w którym żyje i mieszka łaska Chrystusa.

Otóż, jak Chrystus we mszy św. czyni się hostją ofiary, tak wierni, nieodłączni od Niego, ofiarują się w Nim i przez Niego Bogu, Ojcu Jego i Ojcu swojemu.

Ponieważ wino przedstawia Chrystusa, poświęcać go nie trzeba — woda tylko przedstawiająca Jego człowieczeństwo i nasze człowieczeństwo poświęcenia potrzebuje.

Błogosławiąc wodę, kapłan wskazuje, że człowieczeństwo wezwane jest do życia wyższego, do życia nadprzyrodzonego.

W czasie mszy żałobnej nie błogosławi się wody, gdyż Kościół nie posiada rzeczywistej władzy nad duszami w czyścu pozostającemi; dlatego też nie może już ich błogosławić.

W czasie mszy uroczystej subdjakonowi przysługuje zaszczyt wlewania wody do kielicha — przywilej ten datuje się ledwie od XIV w. Do tego czasu, jak i dotąd jeszcze u Kartuzów, było to obowiązkiem djakona.

Gdy kielich przygotowany, djakon podaje go celebrującemu i mówi z nim razem modlitwę następującą:

„Offerimus tibi, Domine Calicem salutaris, tuam deprecantes clementiam: ut in conspectu Divinae Majestatis Tuae, pro nostra et totius mundi salute cum odore suavitatis ascendat. Amen.

Ofiarujemy Ci, Panie, kielich zbawienia, litości Twojej błagając: niechaj przed oblicze Boskiego Majestatu Twego za nasze i całego świata zbawienie z wonnym wstąpi zapachem. Amen.

Djakon ruchem uprzedzającym, z uszanowaniem podtrzymuje kielich i modli się z kapłanem. Przyczyna tego leży w tem, że dawniej dla komunji pod dwoma postaciami potrzebne były kielichy ciężkie, mające czasem do 30 i 40 funtów. Z drugiej strony djakon miał zaszczyt podawania Krwi Przenajświętszej w czasie komunji wiernym.

Dlatego też w formule użyta jest liczba mnoga.

Ku krzyżowi wznoszą celebrujący i djakon kielich i oczy.

Ponieważ pierwsza ofiara spełniona została na krzyżu, ważnem jest mieć jego wizerunek przed oczami. *)

Odstawiając kielich na ołtarz, kapłan czyni znak krzyża nad korporałem, tak jak to czynił nad hostją i przykrywa kielich palką (mały kwadrat płótna zabezpieczający płyn). Podczas mszy uroczystej djakon daje patenę subdjakonowi, który okrywa ją humerałem i zstępuje ze stopni ołtarza.

Aż do VI wieku patena, tak jak i kielich były przedmiotem ciągłego użytku w całej mszy św. Potem chleb był składany na korporale, patena stawała się w ten sposób niepotrzebną przez wielką część św. ofiary.

Z drugiej strony patena, będąc naczyniem św. musiała być otoczona szczególną troskliwością. Akolita był pierwotnie obowiązany trzymać ją poprzez welon, gdyż nie mógł dotykać naczyń świętych — potem było to funkcją subdjakona w tej chwili niezajętego.

W czasie mszy żałobnych pozostawiano patenę na ołtarzu. Dawniej wierni nie mogli uczestniczyć w komunji św. w czasie mszy żałobnej — stąd tylko jedna hostja była konsekrowana i wystarczała patena mała a nie wielka, mogąca obejmować chleb eucharystyczny na komunję dla wszystkich.

Nic więc nie przeszkadzało, aby mała patena pozostawała na ołtarzu.

W czasie mszy cichej kapłan podsuwa patenę pod korporał i puryfikaterz.

Po ofiarowaniu wina kapłan się nachyla i streszcza w pokornej modlitwie usposobienie, w którem powinien się znajdować wraz z ludem, aby ofiara przyjęta była przez Boga.

---

*) Dlatego powinien być zawsze krzyż na ołtarzu. Pius X i Benedykt XIV nacisk kładli na to, aby krzyż nie był tak mały, iżby wierni mogl go nie dostrzegać.—I zbyt często widzi się na tabernakulum mały krzyżyk, a za nim stojącą wielką statuę. Jest w tem podwójny błąd. Tabernakulumi nie powinno służyć za podstawę do czegokolwiek. Co zaś do statuy, stoi ona na to, aby pociągać oczy. Naturalnie tam się one kierują, a idea krzyża ośrodek całej ekonomji chrześcijańskiej — znika. Wybierajmy inne miejsca dla nabożeństwa z pewnością chwalebnego, ale zajmującego miejsce drugorzędne w stosunku do nabożeństwa wielkiego i świętego w najwyższym stopniu.

„In spiritu humilitatis et in animo contrito suscipiamur a te Domine: et sic fiat Sacrificium nostrum in conspectu tuo hodie, ut placeat tibi, Domine Deus".

W duchu pokory i z sercem skruszonym niech będziemy przez Ciebie przyjęci, Panie, a niech taka będzie dzisiaj ofiara nasza przed obliczem Twojem, aby się Tobie, Panie Boże, podobała.

Potem wyciągając i wznosząc ręce dodaje:

„Veni Sanctificator omnipotens, aeterne Deus et benedic hoc Sacrificium tuo sancto Nomini praeparatum".

Przyjdź, Duchu św., wszechmogacy, wieczny Boże: i pobłogosław tę ofiarę, przeznaczoną na chwałę św. Imienia Twego.

Jest to modlitwa jedna z najdawniejszych.

Jest to wezwanie Ducha św, z prośbą, by poświęcił dary.

Mówiąc słowo „benedic" celebrujący błogosławi dary.

Błogosławić znaczy dobrze życzyć, prosić o łaskę. A wszelka łaska, wszelkie dobrodziejstwo przychodzi nam przez Chrystusa i przez krzyż, stąd naturalnie znak krzyża towarzyszy w liturgji słowom błogosławieństwa. D. c. n.

*O. Karol van Oost O. S. B.*

---

# O istocie kapłaństwa.

Kapłaństwo może być przyrównane do wysokiej góry stającej przed nami w całym swym niemym majestacie. U podnóża jej widzimy ciemne lasy, nieco wyżej jasnozielone łąki, na ich zaś tl sześciany szałasów; jeszcze dalej dostrzegamy pojedyńcze najeżone sosny, wspinające się po jej zboczu. Im wyżej, tem stają się one karłowatsze, aż wreszcie całkiem zanikają, dopiero wówczas rozpoczyna się ostry dziewiczy urok górski. Srebrzysta biel miękkiego śniegowego kobierca okala dzikie wierzchołki i grzebienie. Wszystko widzimy tam wyraźnie; gdy zaś pogoda dopisuje, niektóre szczyty wydają się nam tak bliskie, jakbyśmy mogli ich się dotknąć. W zachwyceniu napawamy swój wzrok tym widokiem, pragnąc go utrwalić w swej wyobraźni, ale niestety! Z każdym krokiem wspinania się na górę widok się zmienia. Tu znika jeden wierzchołek, tam niespodzianie wyrasta drugi; tu ukazuje się wąwóz, ówdzie wydłuża się w nieskończoność na pozór zupełnie małe pole śniegowe. Coraz to nowe,

częściowo całkiem różne obrazy zmieniają się do tego stopnia, iżbyśmy się zmartwili, gdyby nas zapytano, który z tych krajobrazów górskich uważamy za najpiękniejszy, najlepszy. Podobnie dzieje się z kapłaństwem. Istnieje o niem niezliczona ilość przekonań i poglądów na nie. Właściwie tyle jest poglądów, ilu ludzi, zwłasza że każdy człowiek wciąż zmienia swe poglądy.

Pozwolę tu sobie zestawić krańcowe typy tych różnych poglądów. Jeden z nich ujmuje kapłaństwo tylko pod względem jego użyteczności zewnętrznej. Podług niego kapłan ma działać nietylko z ambony i w szkole, lecz również na wiecach, powinien być dobrym dzielnym mówcą, wprawnym politykiem. Winien znać się na gospodarstwie i być gotowym do udzielania porad prawnych i wszelkich innych. Proboszcz wielkomiejski— to mądry organizator, w którego kancelarji zbiegają się wszelkie nici, najrozmaitszych przejawow życia społecznego, który wszystko wie, we wszystkiem uczęstniczy, a więc na wszystko może wpływać; na wsi zaś proboszcz z zakasanemi rękawami zajęty przy pługu, w polu i oborze jest prawie ich ideałem.

Pogląd z drugiej strony patrzy na kapłana tylko ze względu na życie przyszłe. Wieczności nieskończonej w uroczystym spokoju oddaje się kapłan służbie Bożej. Od zetknięcia się ze światem i doczesnością tacy ludzie starają się możliwie go ochronić, uważając je za pewnego rodzaju splamienie, zanieczyszczenie. Nawet tam, gdzie świat pociąga dobrem i okazuje wartości, woleliby, by kapłan się nie poświęcał. Niektórzy patrzą tak, być może, wskutek swej wielkiej pobożności. Tak naprzykad pisał do mnie pewien student, obecnie aspirujący do kapłaństwa, o swych poglądach na kapłana Wraz z Chrystusem widzi siebie zawieszonym na krzyżu między niebem a ziemią. Najmniejszej piędzi ziemi już nie uważa za swą własność. Wszelką miłość ludzką, którąby próbowała przeniknąć w jego serce, łagodnie lecz stanowczo od siebie oddala, jak uczynił to Jezus w chwili skonania, polecając jedną drugiej dwie najmilsze sobie osoby, Marję i Jana. W osamotnjeniu zupełnem i mrocznej nocy cierpień wisi tak spragniony i złamany bólem. Naprawdę wstrząsająca wizja! Ponieważ jednak jest ona tak bardzo czarna i tak wyłącznie negatywna, nie może dłużej się utrzymać u młodzieńca pragnącego rozwoju. Co dziwniejsze, również koła mniej religijne skłonniejsze są do tego ujemnego obrazu kapłaństwa. Jakgdyby spra-

wiało im przyjemność, że niektórzy ludzie za nich się poświęcają w zupełnem zapomnieniu o sobie. Ich zdaniem, kapłan winien i tam się poświęcać, gdzie inni synowie ludzcy mogą sobie nieco pozwolić. Oczywiście ten ich pogląd jest bardzo sentymentalny. Patrzą na kapłana, lub zakonnika, jak na muzyka, grającego gorliwie wśród nocy księżycowej. W pierwszym ze swych utworów podróżnych Nietzsche obrazuje „powołanego", jak samotnego wędrownika, wciąż w nocy idącego, aż zatrzymuje go niezwykle słodki śpiew jakiegoś ptaka. Tak mile dźwięczy on wśród nocy. „Co chcesz, o ptaku miły, że muszę stać i słuchać? Czemu pociągasz mię swym głosem?" Ptak mu odpowiada, że wabi nie jego lecz swoją samkę. „Co cię obchodzi moja pieśń, gdy musisz ciągle iść i nigdy, nigdy cicho stać! Co winien mu mój śpiew? I czemu jeszcze stoi ten biedny wędrownik?..." Jest rzeczywiście dziwnem, czemu niektórzy ludzie niewierzący wolą ten ujemny obraz kapłana. Jakgdyby sami śmielej mogli używać wygód zyciowych, mając to tanie usprawiedliwienie, że inni za nich poświęcają się, modlą i pokutują. Jak niegdyś królowie lekkich obyczajów budowali klasztory, by prowadzić dalej życie rozwiązłe, pocieszając się myślą, że ktoś inny przebłaga za nich Boga. Jakgdyby takie przebłaganie było możliwe!

Który z tych dwóch poglądów jest słuszny? Lub raczej, ponieważ oba te poglądy są krańcowe, ile z jednego a ile z drugiego zawiera właściwy pogląd na kapłaństwo?

Spróbujmy odpowiedzieć słowami Pisma świętego. W I liście do Koryntjan (rozdz. 7, w. 25) św. Paweł mówi o panieństwie. Ponieważ jednak panieństwo ma dla niego znaczenie tylko ze względu na Boga, bo znacznie ułatwia królestwo Boże, jego słowa mają zastosowanie również do zachowującego celibat kapłaństwa. Wiersz 32 tego listu powiada: „Kto bez żony jest, stara się o to, co Pańskiego jest, jakoby się podobał Bogu. A który z żoną jest, stara się o to, co do świata należy, jakoby się podobał żonie, i rozdzielon jest". Nie będziemy rozważali, czy św. Paweł mówi tu o przeciętnem usposobieniu małżonków, czy przypuszcza, że w małżeństwie tak musi być zawsze. Co do mnie, uważam bezwzględnie, że słuszne jest pierwsze. Bo również małżonkowie, jak powiedziano to dalej o pannach, powinni być święci na duszy i ciele. Również ich ciała są przy-

bytkami Ducha świętego, których nie wolno zanieczyszczać. I oni nie powinni oddawać się pracy wyłącznie światowej z zapomnieniem o Bogu. Rzeczywiście, znam wielu małżonków bardzo religijnych, znacznie więcej od tych, którzy, zostając w celibacie i mając dużo czasu i sił dla służenia Bogu, oddają się uciechom i próżności. Sama wolność od trosk i kłopotów nie tworzy gorliwości w służbie Bożej. Przeto w słowach św. Pawła, pomimo gorących wywodów listu do Efezów, niema wcale wyroku na małżeństwo, jako takie. Rzeczą wszakże cenną i trwałą w rozumowaniu św. Pawła jest, według mnie, nie to małostkowe porównanie i ujęcie obu możliwości, lecz fakt, że św. Paweł oba te stany jeden drugiemu tak bardzo przeciwstawia: dziewictwo i małżeństwo. „Starać się o to, co Pańskiego jest, jakoby się podobać Bogu". „Podobać się" znaczy zadowolić, rozradować Pana, stając do jego usług, czcząc go i poddając się jego woli. Z drugiej strony: „Starać się o to, co do świata należy, jakoby się podobać żonie". Na podstawie tylko tych słów św. Pawła, gdybym nie miał nic innego, czybym mógł uważać dziewictwo i kapłaństwo za coś czysto negatywnego, za samo beztroskie wyrzeczenie się miłowania i odbierania miłości? Czy raczej z tego przeciwstawienia św. Pawła nie jest jasne, że również tu, w kapłaństwie ma się na względzie miłość i troskę, tylko że ta troska wypływa z innego źródła mocy, lub przynajmniej że się ją inaczej układa i zaspakaja.

O tak, obaj, kapłan dziewiczy narówni z małżonkiem troszczy się i kocha. Zupełnie słusznie można powiedzieć: Całe królestwo miłości duchownej i wspólnoty stoi otworem dla kapłana. Poeci lubią opiewać przyjaźń i małżeństwo, jakiem szczęściem jest to zostawanie we dwoje, ta wspólnota „Gdzie w pracy twórczej twe ręce się poruszą, tam dłuższy czas zostaje ślad promienny. Ty kroczysz dzielnie, tyś pełen młodych sił, jakgdyby pączki pękały ci na drodze. Moje zaś serce jest jak pieśń promienna, pełne zachwytu w ciągu twej podróży". Czy wszystkim wiadomo, że prawy kapłan w całej pełni uczestniczy w tem szczęściu wspólnoty duchownej? Wszak jego dusza namiętnie dąży do ideału. Czystość, świętość i doskonałość dźwiękami tęsknoty rozbrzmiewają w jego sercu. Wciąż słyszy ich wołanie, jakgdyby czekała go daleka ojczyzna, ma w nią utkwiony jaśniejący swój wzrok. Inni duszpasterze, nieodzowni wspólnicy

podróży, pobudzają się wzajemnie do tych szczytów, tych cennych wrażeń podróżnych, tak przedziwnie! Trzeba tu również w głębszem znaczeniu zastosować: „Ty kroczysz dzielnie, tyś pełen młodych sił, jakgdyby pączki pękały ci na drodze. Moje zaś serce, dziewicze serce kapłana, jako pieśń promienna pełne jest zachwytu w ciągu twej podróży", Święcie iść, kroczyć tak promienną drogą! Zaglądając do swej przeszłości, dostrzegam, że właśnie najpiękniejszem i zarazem najlepszem było takie kroczenie w cichem świetle idealnej przyjaźni kapłańskiej. Myślę nawet, że przyjaźń lub małżeństwo nic nie są warte, że prędko się rozpadają, jeśli dużo, bardzo dużo nie mają tej wspólnoty duchownej, otwartej również dla kapłana.

Lub gdy zważymy inne dziedziny królestwa miłości i małżeństwa, nietylko wzajemny stosunek małżonków, lecz również wzgląd na dziecko. Jakież to szczęście odczuwa ojciec, gdy jego dziecię czepia się swemi drobnemi rączętami jego pomocniczej ręki, spoczywając w niej jak w muszli obszernej, gdy tajnie młoda krew wita twoją i grzeje się przy niej. Wiesz zaś, że ta krew jest ci bliska, jest twoja. Wszak dziecko jest częścią ojca, jego przedłużeniem, uzupełnieniem jego bytu. Zupełnie wyraźnie ojciec może dostrzec, jak w dziecku jego udział, zjednoczony z udziałem matki, dąży do wyższego nowego bytu. Ktoś przeto powiedział, zdaje się był to Freiligrath, że ojcostwo jest czynnikiem zupełnego rozwoju osobowości ludzkiej. Tylko przez dzieci możemy stać się łącznikami przeszłości z przyszłością, ogniwami wielkiego łańcucha ludzkości, bez dzieci zaś będziemy tylko przerwanym jego pierścieniem. Bardzo słusznie! Lecz ostatecznie, czyż my kapłani również nie jesteśmy ojcami? Już św. Paweł w I liście do Koryntjan, rozdz. 4, wspomina o niewymownem szczęściu ojcowskiem: „Nie wielu macie ojców, lecz w Chrystusie Jezusie przez Ewangelję jam was urodził", lub znowu w liście do Filemona: „Proszę cię za synem moim (niewolnikiem Onezymem), którego zrodziłem w więzieniu mojem", czyli ochrzciłem. Jego poczucie, że jest wychowawcą staje się tak wielkie, że widocznie załamuje się w niem pojęcie ojcostwa. Lecz na tem nie koniec. Św. Paweł chce czegoś mocniejszego, używa więc zupełnie mimowolnie obrazów wziętych z macierzyństwa, bo szczęście matczyne jest znacznie większe od szczęścia ojcowskiego. W rozdziale 4 listu do Galatów woła: „Dziatki moje, które znowu bo-

lejąc rodzę!" W I do Tessaloniczyków, rozdz. 2: Staliśmy się malutkimi w pośrodku was, jako gdyby matka ogrzewała syny swoje. Tak was pragnąc, chcielismy chętnie dać wam nietylko Ewangelję Bożą, ale też dusze nasze; żeście się nam stali najmilszymi". Ojcostwo i macierzyństwo są podług mnie radością nad wszelką radość, szczęściem nad wszelkie szczęście. Prawe życie kapłańskie ma zawsze tego poddostatkiem.

Lecz te dziedziny miłości nietylko otwarte są dla kapłana, że może z nich korzystać. O nie, on musi to czynić, musi spełniać tę możność miłowania. Choćby więc kapłan bez miłości uważał, że wystarcza czysto urzędnicze spełnianie swych obowiązków, w rzeczywistości jednak to nie wystarcza, uchybia bowiem jego zadaniu, jego ideałowi. W dowód tego warto tu przytoczyć obok Pisma Św. również pewien szczegół z obrzędów. Mianowicie podczas konsekracji na biskupa konsekrowanemu wkłada się pierścień zupełnie tak samo jak podczas ślubu narzeczonemu obrączkę, powierzając mu narzeczoną. Przytem biskup konsekrujący powiada: „Przyjm ten pierścień oznakę wierności, ażebyś ozdobiony wiernością niezachwianą strzegł Oblubienicy Bożej czyli Kościoła!" Zupełnie więc podobnie do słów kapłana podczas zamiany obrączek ślubnych. Jakgdyby tu również tajny ślub się odbywał. Bo naprawdę, konsekracja jest ślubem, zawarciem małżeństwa! Gdy sobie przypomnimy, już Stary Zakon, potem zaś św. Paweł obrazują stosunek Chrystusa do Kościoła jak narzeczeństwo, jak zaślubiny. Rozdział 5 listu do Efezów powiada: „Mąż jest głową żony, jako Chrystus jest głową Kościoła. Jako Kościół poddany jest Chrystusowi, tak też żony swoim mężom we wszystkiem". Lecz i odwrotnie: „Mężowie, miłujcie żony wasze, jako i Chrystus umiłował Kościół i samego siebie wydał zań". Małżeństwo jest więc tylko słabym odblaskiem tego pierwowzoru, tego zjednoczenia się Chrystusa z Kościołem. Małżeństwo nawet najbardziej idealne pozostaje daleko od tego zjednoczenia. Biskup jest widzialnym zastępcą Chrystusa, Oblubieńca, kapłan zaś—to jego współpracownik", jak się mówi w ceremonji święceń. Czy wszyscy wiedzą, czemu kapłan ma pałać miłością oblubieńca do Kościoła i dusz? Dlatego, że te dusze są rzeczywiście mu zaręczone i zaślubione, że więc powinien poświęcać się za nie i z miłości o nie się troszczyć, jak się troszczy małżonek o swoją rodzinę.

Przeto sam Pan Jezus tylko o jedno zapytuje św. Piotra przed przekazaniem mu urzędu pasterskiego: „Szymonie, miłujesz mię?“ Czy umiesz miłować? Bo miłować, umieć miłować jest wielkim warunkiem wstępnym do stanu kapłańskiego. Wszystkie inne łaski i moce zbawienne, otrzymywane przez kapłana, są właściwie tylko niezbędnym orężem dla zostania narzędziem miłości w rękach Bożych. Rozumiemy to: Bóg jest miłością. Do jego istoty należy przebaczanie łaskawe, udzielanie. Powinni więc wszyscy, pragnący zbliżyć się do Niego, zwłaszcza odznaczać się miłością. Zdolność miłowania, udzielania się jest miarą, jak wysoko człowiek stoi, jak blisko jest Boga. Ojciec i matka są tylko ziemskiemi organami, narzędziami, stworzonemi przez Boga dla udzielania tej miłości. „Bóg nie może być wszędzie, więc stworzył matkę“, mówią arabowie. Ściślej: Bóg nie jest wszędzie dostrzegalny, chce jednak być widzialny zwłaszcza w swem miłowaniu, więc stworzył matkę, by przez nią widzialnie móc miłować. Przeto również najzagorzalszy bezbożnik leżał niegdyś jako dziecię w Bożych ramionach. Kapłan jest podobnem narzędziem miłości Bożej dzięki nabytej podczas święceń szczególnej łasce dożywotniej, tylko w dziedzinie innej, czysto duchownej, nadprzyrodzonej. „Reliquit nos tanquam vicarios sui amoris, pozostawił nas jakby zastępcami swojej miłości“, by przez nas ludzi miłować. Króciej niż w tych słowach św. Ambrożego nie można wyrazić całej głębi istoty kapłaństwa. Ojcowie, matki, kapłani są czystemi przejrzystemi źródłami, z których wytryska wielka woda ożywcza świata, miłość Boża, ten strumień życiodajny pojący ludzkość spragnioną.

Stąd wypływa rozwiązanie trudności, o których zaznaczyłem na wstępie. Kapłaństwo nie jest ani tylko doczesnością, ani wyłącznie duchowością, lecz zarazem jednem i drugiem. Jest doczesne, jak wszelka miłość i troska są doczesne, ma za podstawę rzeczywistość i do niej zmierza. Tak samo jak w małżeństwie, a nieraz może nawet jeszcze bardziej musimy również my kapłani dzielić z ludźmi radość szczęścia i gorycz boleści. Bo ludzie są to nasi ukochani. Kochaj więc bardzo, ile zapragniesz, ja zaś będę z tobą współzawodniczył! Użyję całej swej dumy kapłańskiej, by ci nie ustąpić, by na równi z tobą kochać mocno i stale!

Z drugiej strony, oczywiście, życie kapłańskie jest również duchowne. Bo głębiej rozważając, widzimy, że nie jest ono miłością czysto ludzką, lecz Bożą, Bożym strumieniem miłości, dla którego czynię z siebie naczynie i sito, gdy zaś dzielnie z nim współpracuję, staje się zdolny obudzić poczucie Boga w innych duszach. Przytem w przeciwieństwie do małżeństwa działanie tego strumienia miłości Bożej nie jest ograniczone nakreślonym zgóry żadnym kierunkiem.

Miejcie pieczę tylko o Panu, mówi św. Paweł. Tylko to podkreśla. Gdyby bowiem człowiek nie wyłącznie myślał o Panu, gdyby chciał nakreślić granice dla miłości Bożej, to musiałaby miłość iść tylko tam, a nie dalej, człowiek zaś, jak mówi św. Paweł, byłby podzielony. Tak daleko sięga miłość kapłana. Bóg bowiem przebywa nietylko w jednostce, kobiecie, lub dziecku, lecz również w ogóle ludzi i pragnie pomocy. Miłość więc kapłana powinna sięgać dalej, właściwie tak daleko, jak żyją ludzie, jak żyje potrzeba. Lecz przez to samo miłość kapłana staje się wolną, nawet lotną, tak dziwnie lotną i niestałą, przynajmniej pozornie. Bóg bowiem, ten Zbawca mistyczny, pragnący w duszach wzrastać, tak głośno woła o pomoc. To tu, to ówdzie, nieraz daleko wśród pogan, niewierzących, błędnowierców, ubogich i robotników głośniej i bardziej niż wśród rodaków, najbliższych krewnych, lub przyjaciół. Powinien więc kapłan dla tych dalekich nie być skrępowanym, nie powinien nigdzie osiadać na stałe, bo nie wie, dokąd go boski strumień miłości zaprowadzi. Wiemy, że takiemu zadaniu małżeństwo nie odpowiada, że krępuje, wkładając konkretne stałe obowiązki miłości w małem kole. Małżonek nie może tak dowolnie poświęcać się dla innych, ma wpierw obowiązek myśleć o utrzymaniu swej żony i dzieci. Kapłan również nie powinien zanadto się zagnieżdżać w poszczególnych duszach, by zawsze być gotowym na wołanie Boże, wymagające od kapłana w jego miłości pewnego trzymania się zdala. Nigdy zaś nie wolno stawać między Bogiem a duszą. Czy również mogę przywiązać się do duszy, gdy Bóg, być może, pragnie mieć mnie tylko chwilowem swem narzędziem? Kapłan więc w życiu ziemskiem nigdy nie spoczywa, jest stałym, często bezdomnym wędrownikiem. Bo wszak naprawdę często zadaniem jest kapłana być słońcem miłości, które na skraju ludnego spragnionego miłości świata wciąż

świeci i świeci, a nigdy ciepła z powrotem nie odbiera. Zdaje się, jakgdyby mroczna zimna przestrzeń wchłaniała w siebie nieruchomo wszelkie światło i wszelkie ciepło. Ileż zawodu, niewdzięczności, nienawiści i oszczerstw jest często ostatnią kapłana zasługą i nagrodą! Kapłan przytem nie ma możności w takim zawodzie swoich starań schronić się w kole swej rodziny, oprzeć się na czemś pewnem, choć w świecie zbudowanem, na miłości osób do niego przywiązanych. Może więc kapłan rzeczywiście czuć się przybitym do krzyża w zupełnem opuszczeniu... Nie przeczę bynajmniej, że kapłan nieraz staje się ofiarą. Za dużo jednak sprawiłyby szczęścia radości kapłańskie, gdyby nie towarzyszyły im cierpienia i nie pomogły szczęścia znosić. Mieć na względzie tylko wzniosłe posłannictwo Boże, wyrzekać się stanowczo wartości doczesnych, by Bóg przeze mnie mógł wszystkich miłować i w tej miłości do reszty mię zużytkować jako swe narzędzie,—czyż nie będę radośnie się starać o takie wyrzeczenie?

Są jednak dusze, w których samo oglądanie nędzy tego świata budzi tak wielką miłość nieskrępowaną, że się przekonali, iż nie jest ona jakimś małym, celowo wzniesionym budynkiem miłości, ani też marnym strumykiem miłości czysto ludzkiej. Szeroko więc otwarli swe ramiona dla tej fali Bożej. Morze zaś mieni się na słońcu wspaniałe, nieprzejrzane, dalekie. Przyjdź, o morze miłości, porwij mię w swe wodne ramiona, unieś mię w dal do owych tysięcy ludzi bezdomnych, nie mających nikogo, kogo mogliby nazwać swym przyjacielem i bratem, a cóż dopiero ojcem! Na samą myśl o tem znika we mnie wszelka ociężałość, budzi się gorąca miłość ojcowska. I ktoby wówczas się ważył wprowadzać mię w błąd, wabić z powrotem do przystani, do małego ciepłego gniazdka szczęścia? O nie, zostawcie nas! Jesteśmy zaślubieni tysiąckrotnie, wiecznie, niezmiennie obszarom boskim! — Pragnijmy szczerze, pokornie się modlić, by nas kapłanów Bóg zawsze utrzymywał w tej świętej woli.

*Ks. A. Stonner, Wiedeń.*

## *Chrystus — Bierzcie i spożywajcie — to jest Ciało Moje!*

*Berzcie i jedźcie—to jest Ciało Moje!*
*To jest Chlęb Życia,—a w śmierci godzinie*
*Wiatyk na drogę na Sąd Ostateczny.*

*Bierzcie i pijcie—bo to jest krew Moja!*
*Kto ją pić będzie—na wieki nie zginie,*
*Bo w swojem łonie żywot nosi wieczny.*

*Krew ta wylana za was dzisiaj będzie, —*
*Z niej na was łaska i pociecha spłynie,*
*Ona wam będzie światłem i ostoją.*

*Ja zaś przez wieki będę z wami wszędzie,*
*Skrycie obecny w tym chlebie i winie, —*
*Czyńcie to zawsze na pamiątkę Moją!...*

**Bronisław Wiszniewski.**

# DYSPUTY.

**Pyt.** Jak rozumieć stosunek Boga „jako dobrego ojca" względem grzesznika, jeżeli bezustanne błagania Boga o łaski dla tego... i przez tego grzesznika są przez tego dobrego Boga odrzucane. Prawda że ów grzesznik jest największym grzesznikiem, lecz ów grzesznik pragnie się „nawrócić i żyć"... Przecież dla... wszechmogącego i tak dobrego Boga, który tyle wycierpiał i umarł dla grzesznika, jest łatwem rzec słowo, ażeby ów trędowaty został natychmiast uleczony, a jednak to się nie dzieje... Grzesznik bezustannie woła: Jezusie, zmiłuj się, zmiłuj, a Jezus zdaje się nie słyszy... Nawet błagania Najświętszej Matki, która nikogo nie... opuszcza a i nikiem nie gardzi, o wstawiennictwo się do Syna Swego — są bezskuteczne... Jak zniewolić, że tak powiem, dobrego Jezusa, ażeby raczył udzielić łaski swojej służenia Jemu? Alboż odrzucenie prósb owego grzesznika przez Chrystusa Pana należy rozumieć jako niechybną zgubę i odrzucenie tego grzesznika? Jeżeli tak, to gdzie ta prawda, że Chrystus Pan chce, ażeby grzesznik nawrócił się i żył?

Jakże to jest: Chrystus Pan chce życia grzesznika i w tym celu tyle wycierpiał dla grzesznika i tak haniebnie umarł na krzyżu, a łaski Swojej służenia Jemu, dać nie chce? Prawda, ta łaska, o którą grzesznik błaga winna być pod postacią materjalną, ależ ten sam Chrystus Pan dał sakramenta pod postaciami materji: jak naprzykład Swoje Ciało najświętsze i Swoją Krew ukrył pod postaciami chleba i wina. A może dlatego Chrystus Pan nie chce wysłuchać błagań owego grzesznika, że w nim jest brak wiary? To dlaczego Chrystus Pan nie da temu grzesznikowi łaski żywej wiary... przecie ów grzesznik chce wierzyć... chce służyć szczerze temu Chrystusowi z całego serca!?! A może dlatego prośby owego grzesznika nie są wysłuchane, że jest największym grzesznikiem? To jaka z tego konsekwencja dla tego biednego największego w świecie grzesznika? Czy ma wiedzieć, że jest odrzuconym od Jego miłosierdzia Boskiego? A wówczas rozpacz i potępienie dla niego w udziale? I pocóż w takim razie ten Chrystus tyle cierpiał, poco tak haniebnie i sromotnie umarł na krzyżu, jeżeliby choć jedna dusza miała zginąć z braku środków..., a raczej z braku łaski służenia Jemu... Nie, ja w to nie chcę wierzyć, ażeby Ten Chrystus Pan, który tyle wycierpiał dla grzeszników i który tak pragnie, ażeby grzesznik nawrócił się i żył, nie chciał i mojej... prośby wysłuchać... To chyba dla tego mnie nie wysłuchiwa, że ja nie umiem prosić... a więc jak prosić? Niech i ja otrzymam łaskę służenia Jemu, bo gdzież pójdę i komu służyć będę, jeżeli On mię odrzuci.

**Odp.** Pewną, najpewniejszą jest rzeczą, że Bóg jest dobry, nawet najlepszy. W przeciwnym bowiem razie nie byłby Bogiem.

Niema również najmniejszej wątpliwości, że Bóg chce, by każdy się nawrócił i żył, choćby był największym grzesznikiem na świecie.

Niema takiej zbrodni, którejby Bóg nie przebaczył i takiego zbrodniarza, któregoby nie chciał zbawić. Wszak i Judasza Chrystus-Bóg ratował już po dokonaniu przez niego największej zbrodni, bo zdrady samego Boga i wydania Go na śmierć w ręce Jego wrogów

Mamy tysiączne przykłady historyczne na potwierdzenie tej prawdy, której pewność filozoficzna i nadnaturalna, z Objawienia nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Jedynym warunkiem ze strony grzesznika jest szczera skrucha, dobra wola i wysiłek, na jaki go stać, by iść ku dobremu. Jedno słowo łotra na krzyżu wystarczyło, by go tego samego jeszcze dnia zbawić; jedno uderzenie się w piersi celnika i skruszony akt: „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!" wystarczył, by go usprawiedliwić w tej samej chwili przed Bogiem.

Dobry łotr usłyszał od Chrystusa zapewnienie: „dziś jeszcze ze mną będziesz w raju". Podobnie i dzisiaj w imieniu Boga nad skruszonym grzesznikiem wymawia kapłan sakramentalne słowa: „Ja ciebie rozgrzeszam z grzechów twoich"—tak, jak kiedyś Chrystus powiedział do grzesznej niewiasty: „Odpuszczają ci się wszystkie grzechy — idź w pokoju!"

Ktokolwiek więc, choćby był największym złoczyńcą, może sobie szczerze przyznać, że zrywa z życiem poprzedniem i pragnie odtąd żyć dobrze, wyspowiada się szczerze i otrzyma rozgrzeszenie— może być pewny—bo Bóg w swych obietnicach nikogo nie zawodzi—że wszystko zostało mu darowane i że jest znowu w łasce bożej. Może tego nie odczuwać, bo uczucie nie zależy od nas i niezawsze możemy je w sobie wywołać. Ale Pan Bóg nie patrzy na uczucia, a tylko na wolę, nie żąda od nas łez skruchy i bólu serca, ale oczekuje tylko prostego aktu woli: „chcę — pragnę", choćby serce pozostało suchem i nie drgnęło nawet żadnem żywszem uczuciem.

Na tym punkcie najczęściej zdarzają się u ludzi wątpliwości w szczerość swego nawrócenia, w skuteczność modlitwy, w wystarczającą wiarę... Gdy niema uczucia nie jest to jeszcze dowodem, że niema wiary, lub że modlitwa jest niedoskonałą. Decyduje tutaj wewnętrzny akt woli, którego pewność możemy mieć zawsze.

Jedno jeszcze może budzić w nas nieuzasadnioną obawę, że nie przyjął Bóg naszego nawrócenia—gdy po zwróceniu się do Boga nie wiedzie nam się w naszych sprawach doczesnych, jakby nad nami nie było błogosławieństwa Bożego.

Wątpliwość ta jest skutkiem tego błędnego mniemania, że błogosławieństwo boże winno iść zawsze w parze z powodzeniem doczesnem.

Owszem bywa tak bardzo często, ale niekoniecznie i niezawsze. Pan Bóg jest dobry mądrze, jak matka, ale nie taka,

która daje dziecku do ręki wszystko, co mu się podoba, żeby je zadowolnić i nóż błyszczący i truciznę pachnącą nawet. My jesteśmy, jak niemowlęta z naszą ludzką kalkulacją, owianą zazwyczaj wpływami bardzo ziemskiemi i na krótką obliczonemi metę. Pan Bóg zaś daleko widzi i dobrze widzi i dobrze wie, co dla nas jest prawdziwem dobrem, a co blichtrem, lub przeszkodą. A blichtru ani tandety żadnej nie popiera, ani nie dopuszcza. Pan Bóg wie, że istotnem naszem dobrem jest zbawienie duszy, a tu na ziemi łaska. I to przeprowadza, że tak powiem, par force, że aż nieraz krzyczeć trzeba, bo często zaboli. Ale to tak, jakby matka wyjmowała drzazgę z ręki dziecka, choć to dziecko płacze w niebogłosy i nie pozwoli dotknąć nawet zbolałego miejsca, albo jakby trzymała całą siłą choćby za włosy, gdy dziecko chce urwać kwiatek nad brzegiem przepaści i aż wierzga nogami na znak protestu przeciwko twardości matczynego serca.

Dobrą jest Pan Bóg matką, ale i mądrą i mocną.

Powodzenie, które nieraz służy lichym moralnie ludziom jest tylko tą nagrodą doczesną za to, co kiedykolwiek dobrego zrobili. Bo przecież i najgorszy człowiek czasami na coś dobrego się zdobędzie. A Pan Bóg nic bez nagrody nie zostawia. Zamało jest, by mogło być nagrodzone w wieczności, więc reguluje Pan Bóg ten rachunek tutaj na ziemi. Ale nie pozostawi nigdy nic niezałatwionego! O dobrem pamięta zawsze. Zapomina i to na wieki o tem, co człowiek złego zrobi, jeżeli tego żałuje i choćby jednem szczerem westchnieniem poprosi o przebaczenie.

Pozostaje bardzo często, po darowaniu kary wiecznej, do wyrównania jeszcze tak zwana kara doczesna, zadosyćuczynienie za drobne przewinienia, czy za niedoskonałość aktu skruchy. Otóż, zamiast zostawiać to na później, jak nas uczy wiara, że takiem miejscem zadosyćuczynienia doczesnej karze po śmierci jest czyściec, Pan Bóg najczęściej już usprawiedliwionym daje sposobność wyrównania tego długu tu na ziemi, przez cierpliwe znoszenie przeciwności życiowych. I to jest tajemnica tak często spotykanego niepowodzenia w życiu ludzi dobrych i nawet najlepszych. I to jest bardzo mądra i pełna miłości kalkulacja.

Znakiem więc widomym usprawiedliwienia naszego jest

tylko rozgrzeszenie sakramentalne i świadomość, że chcemy, by było dobrze i czynimy w tym kierunku pewne wysiłki. Nawet uczucie pokoju wewnętrznego, jak żadne wogóle uczucie, nie jest tutaj rzeczą istotną. Ma człowiek na to rozum, żeby sobie trzeźwo zdał z tego sprawę, że jest na dobrej drodze. A w wątpliwościach, które bardzo często, szczególnie u nawróconych, są objawem chorobliwego skrupulatyzmu, powinien pomóc doświadczony spowiednik i wiara w dobrego Boga.

Wiara też nie jest uczuciem, tylko aktem rozumu i woli, przyznającym za prawdę to, co Pan Bóg objawił, choćbyśmy tego nie rozumieli, albo nie czuli żadnego do tego pociągu. Rozum ludzki, z natury swojej ograniczony, nigdy nie ogarnie tego, co jest nieskończonem. Jeżeli więc mamy fakt Objawienia Bożego, t. j. rewelacji o tych rzeczach nieskończonych, uczynionej przez samego Boga — co się zawsze da stwierdzić historycznie—wtedy, nie mogąc nawet tego zrozumieć, przyjmujemy za prawdę, bo tak powiedział Bóg. To jest akt wiary, czysty akt umysłu i woli. Albo, wiedząc, że Bóg jest najlepszy i najmędrszy i najpotężniejszy, że więc chce dla nas tylko tego, co najlepsze, a wie najlepiej, co niem jest i mocen jest zawsze to przeprowadzić—przyjmujemy z wdzięcznością i spokojem, a choćby z cichą rezygnacją to, co na nas zsyła Opatrzność, gdyśmy już wszystko, co w naszej mocy jest, uczynili, choćbyśmy nawet nie rozumieli, dlaczego tak, a nie według naszych pragnień, czy wyliczeń się dzieje—o, to jest wiara, praktyczna i żywa.

Żeby taką wiarę mieć, trzeba tylko aktu umysłu i woli, aktu zgody i dobrej woli. Aby się na to zdobyć, należy się tylko zastanowić nad motywami takiej wiary i najprościej w świecie prosić o nią Pana Boga, jak nas nauczył Pan Jezus: „Panie, przymnóż nam wiary!"

Prosić zaś, modlić się — to też najprostsza w świecie rzecz. Każde dziecko potrafi przemówić do swojej matki, zarzucić jej rączki na szyję i powiedzieć cichutko do ucha, jak ono ją bardzo kocha, albo uśmiechnąć się do niej na podziękowanie, albo spojrzeć jej prościutko w oczy i, całując serdecznie poprosić grzecznie, ale bez napierania się o coś dobrego, albo w rękę pocałować i przeprosić za to, że się nie było grzecznym.

Tak samo zupełnie z Panem Bogiem. Prosto i szczerze, jak z matką. To jest modlitwa.

I taka modlitwa zawsze jest przez Boga przyjętą i wysłuchaną. Wysłuchana nie w tem znaczeniu, że zaraz Pan Bóg nam da to, o co prosimy. Bo i mądra matka — jak to już wspomnieliśmy — nie da dziecku noża, ani trucizny do ręki, choć o to bardzo ją prosi, ani nawet nie pozwoli na tak pożyteczną rzecz, jak pójście do ogrodu na zabawę, ani tak wzniosłą, jak odwiedzenie kościoła, jeżeli w tej chwili trzeba robić co innego. Ale da dziecku napewno jeszcze coś lepszego.

Tak samo i Pan Bóg. Jeżeli nie spełnia odrazu naszych, nawet bardzo serdecznych i napozór, jak nam się przynajmniej zdaje, pożytecznych i godziwych próśb, to dlatego tylko, że wie, iż w tej chwili albo nie jest jeszcze na to pora, albo widzi, że nie byłoby to z pożytkiem dla zbawienia naszej duszy, albo — co zawsze się zdarza napewno — ma dla nas jeszcze coś bardziej dobrego i to nam daje.

Jak wrażliwe i trochę uparte dzieci, niezawsze, prawie nigdy, nie rozumiemy tej mądrej dobroci bożej i dąsamy się na taką „oryginalną" miłość, albo trwożymy się, że nas Pan Bóg nie wysłuchuje.

Bądźmy spokojni! Słyszy Pan Bóg zawsze najcichszy nawet szelest serca naszego, niedosłyszalny nawet szept naszej duszy i wysłuchuje najmniejszej nawet prośby najmniejszego z maluczkich. Tylko mądrze i przewidująco. Okażmy w tem naszą dziecięcą wiarę i prośmy znowu Pana Boga: „Panie, naucz nas tak się modlić".

I uprzytomnijmy sobie raz jeszcze tę prawdę: niema w oczach Bożych żadnego grzesznika, któryby nie został usprawiedliwiony, gdy tego pragnie i zwraca się z tem do Boga, jak umie, w całej prostocie swego serca.

Bóg zawsze i dla wszystkich jest Ojcem!

* * *

**Pyt.** Jak i co czynić należy, ażeby upoić się prawdziwie Jezusem? Jezus jest Prawdą, Jezus jest Miłością. Lecz, jak posiąść tę Prawdę, jak się nasycić tą Miłością?

**Odp.** Bardzo prosto! Przyjść i powiedzieć Mistrzowi i Przyjacielowi: „Oto jestem". I najprościej w świecie żyć w swoim kąciku i czynić wszystko, co do nas należy, praco-

wać, modlić się, jeść, spać, bawić się i odpoczywać, gdy na to czas przyjdzie—tylko zawsze z pamięcią, że to wszystko jest służbą Chrystusową i zawsze w ciągłej z Nim rozmowie duszy o wszystkich naszych i innych sprawach.

Gdzie się da, czynić dobrze innym, te najmniejsze, najdrobniejsze, codzienne przysługi. Jeżeli można i ma się ku temu wszystkie dane, działać na szerszą skalę, według możności i warunków życia. Jeżeli znajdzie się na to czas, pójść przed ciche tabernaculum i tam — bez książki — wypowiedzieć wszystko i „upoić się", albo do gęstego lasu, lub w góry przed wschodem słońca, posłuchać, jak cały świat budzi się, jakby słychać było przelot aniołów stróżów i jak wszystko szepcze swój pacierz i śpiewa coraz śmielej, coraz mocniej swą pieśń dla Stwórcy, aż gdy na niebo, jak na wysoką estradę, wkroczy w całym swym majestacie promienne, wielkie słońce, zagra mu cała orkiestra dokoła potężnym hymnem bez nut, a tak cudnym, jakiego żaden człowiek wyśpiewać nigdy nie potrafi. Wtedy się widzi, a nawet czuje Prawdę i Miłość.

A gdy się spójrzy w duszę Chrystusa i przeniknie jej myśli i to żywiołowe jej umiłowanie „ex toto"—ze wszystkiego — czy można potem pozostać nieczułym?!

* * *

**Pyt.** Cuda niezawsze dają się rozpoznać, albowiem szatan, jako duch, posiada większą moc, niż człowiek, może zatem czynić rzeczy dla nas dziwne i niezrozumiałe, które mogą nam się wydawać cudami.

**Odp.** Zupełna racja. Niełatwo jest rozpoznać prawdziwy cud. I szatan, który jest aniołem upadłym, ale w swoim upadku zachował nietkniętą naturę anioła, a więc jest istotą wyższą od człowieka, a więc jest mądrzejszym i potężniejszym od niego, zna lepiej tajemnice natury i większą nad nią ma władzę, — może rzeczywiście czynić rzeczy dla nas dziwne i niezrozumiałe, które mogą mieć pozór cudów. Dlatego też Kościół tak jest nadzwyczaj ostrożny w uznaniu jakiegokolwiek cudu i tylko po długich i skrupulatnych badaniach, zmuszony tylko wprost oczywistością faktu ogłasza coś za rzeczywiste wydarzenie cudowne.

Co więcej, nietylko szatan może sprawić coś dziwnego, ale i sama przyroda ma dla nas bardzo jeszcze wiele tajem-

nic. Wiele z tych rzeczy, które dawniej uznawano za cudowne, choćby np. latanie w powietrzu, albo przyciąganie magnesu, genjusz ludzki zrealizował w sposób naturalny, albo odkrył, na jakich to się zasadach odbywa.

Lecz są rzeczy, których ani szatan nie dokona nigdy, ani żadne nieznane prawo natury nie zaprzeczy. Są to zjawiska, które pod każdym względem przewyższają normalne siły natury według już niewątpliwie znanych jej praw i do wywołania których konieczną jest interwencja siły twórczej.

Takiem np. zjawiskiem jest powołanie do życia człowieka, którego śmierć została stwierdzoną bez żadnej wątpliwości, gdy już np. nastąpił rozkład ciała.

Prawo śmierci jest jednem z najbardziej zasadniczych praw natury i nie będzie napewno nigdy takiego prawa tej samej natury, dotychczas nieodkrytego, któreby zaprzeczało temu prawu. Człowiek składa się z ciała i duszy. Ciało jest materją, a więc składa się z cząstek. To, co się składa z cząstek nie ma w sobie samodzielnej racji bytu. Prędzej, czy później, choćby to trwało miljony lat, musi nastąpić rozkład tych cząstek i to nazywamy śmiercią. Tchnienie nowego życia w rozkładające się już cząstki przewyższa wszelką moc natury, czy duchów choćby bardzo doskonałych. Tu trzeba stworzenia nowego życia, a to może uczynić tylko Pan Bóg bezpośrednio, lub pośrednio przez jaką osobę, która do Niego zwraca się z prośbą o to (cuda świętych), lub na pewnych uprzywilejowanych miejscach (miejsca cudowne) i t. d.

Mogą być również takie wypadki, gdzie zastosowany środek jest zupełnie nieproporcjonalny do skutku, albo nawet powinien skutek wprost przeciwny wywołać.

Np. pomazanie zwykłem ulicznem błotem oczu ślepego od urodzenia może, z natury swojej tylko zaszkodzić i tak już zmarnowanym oczom. Jeżeli zaś skutkiem takiego zabiegu było przewidzenie nieszczęśliwego ślepca, cud jest widoczny.

Lub, gdy chorego w ostatniem stadjum gruźlicy, gdy już płuca są w całkowitym rozkładzie i gorączka lada chwila zabije człowieka, zanurzają bez zachowania żadnych ostrożności do zimnej, jak lód, wody w źródle bijącem (Lourdes), i chory, zamiast stężeć w rękach, wychodzi z tej śmiertelnej kąpieli całkowicie zdrowym. — Trudno tu nie uznać cudu.

Lub wreszcie, gdy zjawisko, które w najlepszych warunkach potrzebowałoby długiego procesu, dokonywa się nagle, w jednej chwili, bez żadnego nerwowego wpływu—np. w wypadkach chirurgicznych, złamaniach kości, owrzodzeniach, lub w powyższym przykładzie rozkładu płuc — i ten skutek trwa już bez zmiany — i tutaj trudno nie uznać cudu.

Trzeba być bardzo krytycznym, trzeba metodycznie wszystko, choćby najdziwniejsze, z zasady uznać za zjawisko naturalne. Ale, gdy na podstawie zupełnie pewnych praw stwierdzimy, że siłami naturalnemi znanemi, czy nieznanemi nie wytłómaczymy tego zjawiska bez interwencji siły nadprzyrodzonej, pochodzącej od Boga—nie można pozostawać zaślepionym i upartym, jak to czynią niektórzy, ale logicznym i dobrej woli człowiekiem—i uznać cud.

* * *

**Pyt.** Sprzeciwia się to w każdym bądź razie ludzkiemu rozumowi i uwłacza godności człowieka, jeżeli ma wierzyć w jakieś tajemnice, których zrozumieć nie może. Na cóż więc te tajemnice w Objawieniu Bożem?

**Odp.** Mimochodem już dałem na to odpowiedź w jednym z punktów pierwszego pytania w tych dysputach — postaram się tutaj lepiej jeszcze to wyjaśnić.

Istotnie, zdawałoby się, że człowiek mógłby wiedzieć o wszystkiem i to się bardzo człowiekowi uśmiecha... uśmiechało mu się to już w Raju, według opowiadania biblijnego. Ale właśnie dlatego, że ma tak genjalny umysł, człowiek powinien zrozumieć, że mogą być tajemnice, których on swoim rozumem nie przeniknie nigdy, jeśli mu ktoś wyższy nie dopomoże.

Wiemy przecież z własnego doświadczenia, choćby z wizyty na cmentarzu, że jesteśmy skończonemi istotami, ograniczonemi w doczesnem istnieniu, a więc i w działaniu, bo działanie jest tylko skutkiem i objawem istnienia, a skutek, ani objaw nie może przewyższać swej przyczyny i swego źródła.

Mamy duszę nieśmiertelną, której władzą jest umysł, a przedmiotem umysłu — prawda. Ale umysł, tak jak każda władza duszy, działa za pomocą organów cielesnych, które są materjalne, a więc z natury swojej skończone i ograniczone. Nawet później dusza po wyzwoleniu się od ciała, choć poj-

muje wszystko daleko doskonalej, zawsze jednak pozostaje bytem wtórnym, t.j. takim, który swoje istnienie wziął nie od siebie, nie ma w sobie wystarczającej racji bytu, tylko zaczerpnął ją od bytu wyższego, od tego, który sam przez się istnieje i jest przez to Nieskończonością. A więc i wtedy nawet pojmowanie duszy nie może przewyższyć jej natury i nie jest w stanie ogarnąć Nieskończoności. A nieskończoność istnieje — bo gdyby jej nie było, nie byłoby i nas.

Dlatego też muszą istnieć tajemnice dla umysłu ludzkiego. Ale to wcale nie uwłacza jego godności, bo jest najzupełniej zgodne z naturą człowieka, a więc nie hańbi, ani nie pomniejsza jego wysokiej wartości. A czy nawet wśród rzeczy skończonych, w przyrodzie niema już tajemnic dla umysłu ludzkiego? Cóż dopiero w nieskończoności! Tam ujrzymy Boga twarzą w twarz, nieskończoność nam się ukaże — ale zobaczymy ją za pomocą t. zw. światła chwały „lumen gloriae" danego nam przez Boga, jako daru nadnaturalnego. I to będzie nasz wieczny zachwyt.

Cieszmy się tem już naprzód i czekajmy cierpliwie.

*Amicus.*

---

## *NASZA SIŁA.*

*Wre otchłań życia głęboka,*
*Jak morze od burzy tchnień:*
*Niezłomna Piotra Opoka*
*Nietknięta wznosi się zeń.*
*Wciąż ryczą groźne odmęty,*
*Nadciąga za wałem wał:*
*Wciąż stoi Kościół nasz święty*
*I będzie stał.*

*Zbyteczną mu przemoc oręża,*
*Gdyż z Nieba oręż mu dan:*
*Szatańska moc nie zwycięża,*
*Gdy broni Zastępów Pan;*
*A choć już w Skałę Piotrową*
*Grom często za gromem bił,*
*Jej strzeże Chrystusa słowo,*
*Ta siła sił.*

*Wre otchłań życia szeroka,*
*Bezbrzeżną zatapia dal:*
*Góruje Piotra Opoka,*
*Cała promienna, z naa fal;*
*Nikt sił jej wiecznych nie zmierzył,*
*Bo Chrystus powiedział nam:*
*„Was jam Piotrowi powierzył,*
*Aż wrócę sam".*

**Ada Koneczna.**
(„Kwiaty i promienie".)
z rękopisów ogłosił J. M. Ch.

---

# SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

## Pozytywność w wychowaniu.

Nie trzeba, sądzę, wyłamywać drzwi otwartyeh i dowodzić nieobliczalnych wprost skutków dla rodziny i społeczeństwa zastosowania takich, lub innych metod wychowawczych w stosunku do dzieci i do młodzieży.

Sumienni rodzice i wychowawcy mogliby niejedno powiedzieć na temat szalonych wprost trudności na tem polu i o śmiertelnych trwogach, które przychodzą na nich, gdy się staje przed koniecznością decyzji w krytycznych i nierozwiązalnie powikłanych momentach życia dziecka, czy dorastającego młodego człowieka.

Są ludzie, którzy nie zadają sobie wielkiego trudu w takich razach i pozostawiają losowi rozwiązanie problemu, albo, wpadając w drugą ostateczność przecinają węzeł gordyjski jednem cięciem rozkazu bezapelacyjnego, bardzo często druzgocząc w ten sposób bezpowrotnie najpiękniejsze nawet dusze i najlepsze na przyszłość rokujące nadzieje.

Dwa są najczęściej spotykane w praktyce wychowania zasadnicze błędy—nie mówiąc o karygodnem zaniedbaniu i wyzbyciu się troski o los wychowania — a mianowicie: nienaturalność i sztuczność w wychowaniu i negatywny jego kierunek, w zbytniem stosowaniu zakazów wszelkiego rodzaju bez jednoczesnego

wskazania właściwej drogi, lub bez podstawienia czegoś pozytywnego na miejsce zakazanej rzeczy.

Dwie również winny być fundamentalne zasady prawdziwego wychowania: naturalność i pozytywność.

Konieczność ich jest aż nadto widoczna.

Człowiek nie może być korrektorem Pana Boga, ale jego współpracownikiem. Natura, dana dziecku przez Boga za pośrednictwem rodziców, nie może być złą, bo z ręki Bożej nic złego wyjść nigdy nie może. Jest tylko na skutek tragicznych przejść ludzkości chorą, zranioną i słabą, ale musi służyć zawsze za jedyny punkt wyjścia w dalszym swym rozwoju, czyli w wychowaniu, a jej nieśmiertelne istotne prawa i wymagania służą za bezwzględne kryterjum prawdziwości i rzetelności stosowanych metod. To, co łamie i niszczy naturę — jest z gruntu przez to samo już złem. To, co ją rozwija i uszlachetnia — jest dobrem.

Rozwijającem zaś jedynie jest to, co jest, t.j. dobro pozytywne, a wszelka negacja jest z samej swej istoty brakiem, próżnią i elementem ujemnym, a więc czemś wstrzymującem, jeżeli nie destrukcyjnem wprost i cofającem wszelki słuszny rozwój.

Stąd konieczność naturalności i pozytywności w wychowaniu. Zajmijmy się tem ostatniem.

Pozytywność w wychowaniu streszcza się w lapidarnej zasadzie: minimum zakazów — maximum wskazówek dodatnich. Prawda, potrzebne, a nawet czasami konieczne są zakazy wobec otaczającego nas zła, które i w każdej duszy kiełkuje. Lecz nietyle tu są potrzebne nożyce, ile raczej odpowiednia podpórka, bandaż ochronno-leczniczy i wszelkiego rodzaju druty i sznurki, po których, jak młode pędy powoju, w odpowiednim kierunku dałoby się poprowadzić wszystkie naturalne, a skłonne zazwyczaj do obierania drogi najmniejszego oporu siły żywotne rosnącego dopiero człowieka.

Każda z tych sił w człowieku, popularnie nazywanych skłonnościami, jest prawdziwym skarbem, jest jednym z tych talentów, użyczonych każdemu z nas przez Króla-Boga.

Pozostawione same sobie, siłą inercji stoczą się po śliskiej pochylni życia aż na samo dno, jeżeli nie rozbiją się po drodze na szczątki. Otoczone samemi zakazami, zawisną w powietrzu, czekając również, na mocy prawa bezwładności, na odpowiedni moment, by przez niedopatrzoną szczelinę runąć w przepaść.

A podtrzymane troskliwą ręką, otoczone ciepłem tchnieniem kochającego serca, lekko pchane umiejętnemi posunięciami i ciągnione magnesem prawdy, dobra i ideału nieustannie ku górze— rozwiną swój bieg młodzieńczy, rozgorzeją w blaskach coraz bliższego słońca, umocnią się i stwardnieją w swym locie, nabiorą pędu, którego już nic nie powstrzyma i staną się tem, czem były i są w intencji Stwórcy: motorami życia i źródłem słonecznej radości.

W różny sposób tę metodę należy stosować w latach dziecięcych i młodzieńczych, w stosunku do chłopców i do dziewcząt,—ale istota metody pozostaje zawsze tą samą: przez umiłowanie prawdy i dobra, a nie przez bojaźń i nienawiść.

Pierwszym i bezwględnym warunkiem ze strony wychowawców w tej metodzie jest: pozyskanie sobie całkowitego zaufania i miłości wychowanków. Autorytet, oparty na szacunku i miłości jest zawsze nieodparty, bez uciekania się do represji, gróźb i do wykorzystywania swego uprzywilejowanego stanowiska, jako władzy domowej, czy szkolnej.

Dziecko małe już musi ten szacunek i miłość czuć w stosunku do swej matki i ojca. Tem bardziej, że w tym okresie wychowanie polega na poleceniach i rozkazach, którym dziecko musi wierzyć, bo jeszcze nie jest w stanie zrozumieć pobudek i racyj tych wskazań. „Magister dixit"—to winno być dla nich słowem magicznem i rozstrzygającem wszelkie wątpliwości. Lecz by miało ono ten skutek—trzeba już od początku swem postępowaniem ogólnem i szczególnie w stosunku do dziecka zasłużyć sobie na tę ślepą wiarę i zaufanie bezwzględne. Tego mogą oczekiwać tylko rodzice i wychowawcy, których osobiste życie jest bez zarzutu i bez obłudy wobec dzieci. Szczerość życia bez podwójnej miary dla siebie i otoczenia jest podwaliną i źródłem takiego stosunku.

Później, w miarę rozwoju duszy dziecka i władz duszy: rozumu i woli trzeba w metodach wychowawczych iść równolegle z tą ewolucją, dostosowując się do niej umiejętnie i wyczuwając wprost, czego temu małemu, czy może już większemu człowiekowi w obecnej chwili potrzeba.

Na pierwszy plan występuje tutaj potrzeba rozumu. Rozumność jest istotą człowieka. Nic więc dziwnego, że budzący się młody człowiek, niedawno jeszcze spowity w naiwność swego dzieciństwa, a teraz coraz bardziej swej godności ludzkiej świa-

domy, wymaga przedewszystkiem poszanowania tego istotnego swego przymiotu i najwyższego skarbu: rozumu.

Dotychczas, jak młode drzewko, nie mające dostatecznie umocnionego pnia potrzebował obok siebie drążka, do którego był przymocowany, a który służył mu za jedyną podporę i pion życia. Tym drążkiem były rozkazy i polecenia, autorytet osobisty rodziców.

Teraz sytuacja się zmieniła. Drzewko urosło i wzmocniło się. Już nie szuka podpory nazewnątrz. Już nawet koroną swoją przerosło drążek pomocniczy. Rozbudzony i świadomy rozum młodego człowieka już się nie opiera na rozkazach i poleceniach. Szuka samodzielności racji wewnętrznej każdego czynu i każdej woli, którą mu się chce narzucić.

Z tym faktem naturalnym trzeba się liczyć i to od pierwszego momentu przebudzenia się duszy dziecka, by przez nieopatrzne tłumienie tych pierwszych odruchów rozumu nie zbuntować go na całe życie przeciw wszelkiemu autorytetowi.

Od tej chwili osobisty autorytet, który trzeba ciągle podtrzymywać wzorem własnego życia, należy popierać podaniem motywów każdej nowej wskazówki, żądania, czy polecenia i solidarnością własnego sądu o wszystkich kwestjach, jakie się nasuną w toku rozmowy, czy w kolei życia.

Trzeba teraz po raz drugi zdobyć szacunek dziecka, by ono skłoniło głowę przed umysłowością swego wychowawcy. Trzeba być chodzącą encyklopedją, by umieć odpowiedzieć na wszystkie pytania i to nie powierzchownie, bo w razie stwierdzenia banalności odpowiedzi już się przyćmiewa blask autorytetu. Albo mieć trzeba przytem głęboką pokorę i zawsze tę kardynalną szczerość w mowie i postępowaniu, by z prostotą i powagą przyznać się przed pytającym, że człowiek, choćby był wychowawcą, nie zawsze zna wszystko i umie wszystko wyjaśnić.

Najtrudniejsze są pierwsze miesiące tego egzaminu wychowawcy przed wychowankiem. Po przekonaniu się o poważnem traktowaniu każdej sprawy, o szczerości i poszanowaniu rozbudzonego człowieka, autorytet dawny zostaje potwierdzony i już takim zostanie do końca, choćby kiedyś dawny pupil przerósł swego wychowawcę w dyplomach i genjuszu osobistym.

W tym okresie przedewszystkiem ma zastosowanie pozytywność wychowania. Nigdy nie należy wtedy przedstawiać rze-

czy negatywnie. Nie mówić: „nie kłam". Lecz: „mów zawsze prawdę". Nie powtarzać zakazów, by nie czyniono złego, lecz na każdym kroku podkreślać obowiązek czynienia dobrze.

Nauczyć i przyzwyczaić trzeba dziecko do kierowania się zawsze rozumem, do posłuszeństwa racjom i motywom czynu. Wtedy nie będzie już potrzeba podnosić głos i żądać wbrew woli spełnienia rozkazu. Wystarczy spokojne wyjaśnienie motywów, a nawet, gdy zajdzie potrzeba kary, gdy się w krótkich, wstępnych słowach przedstawi racje wyroku i egzekucji, kara wyjątkowo wtedy potrzebna i stosowana, swój zbawienny skutek sprowadzi zawsze.

W tym okresie zachodzi już potrzeba różniczkowania specjalnych odcieni w motywacji w stosunku do chłopców i do dziewcząt, odpowiednio do ich natury.

Chłopiec, bardziej ambitny, wrażliwy jest na poczucie własnej godności i na honor osobisty. Racja honoru jest dla niego z naturalnych pobudek najsilniejszą i najbardziej decydującą.

Dziewczynka bardziej wrażliwą jest na wszelkiego rodzaju uczucie, a szczególnie na poczucie wstydliwości osobistej.

Znajomość tych psychicznych właściwości i różnic we wrażliwościach chłopców i dziewcząt znakomicie ułatwia dobranie się do ich dusz i odpowiednie niemi pokierowanie.

Oczywiście w całokształcie wychowania należy brać pod uwagę tysiączne jeszcze okoliczności i zasady mniej lub bardziej ważne. Wszystkie one jednak wypływać muszą, jako dopełnienie, z tej zasady naczelnej naturalności wychowania i pozytywności, a przedewszystkiem, w wieku młodzieńczym, z poszanowania godności człowieka rozumnego w najmniejszym nawet naszym wychowanku.

Wychowanie człowieka— to dalszy ciąg twórczego aktu Boga, który tchnął nieśmiertelną duszę w cielesną ludzką powłokę. Jest to więc z natury swojej dzieło prawdy i miłości, rozświetlające i rozpłomieniające iskrę Bożą, by się stała pełnem południowem słońcem.

Ale trzeba samemu być słońcem, trzeba mieć jego głębię i żar i jasność, i trzeba samemu pogrążonym być na każdy dzień w nieskończonem słońcu Bożem i kąpać się w jego promieniach, by z kolei innym świecić jasno i rozpłomieniać dusze, by życie naprawdę stało się pełnią radości, jaką z woli Bożej właściwie być winno. *Ks. A. Bogdański.*

# U patryarchy misjonarzy.

Prasa zagraniczna, a za nią lwowska „Nowa Zorja”, przyniosła niedawno temu niezwykle interesujący wywiad z patryarchą misjonarzy z Kongregacji św. Ducha, ks. biskupem Aleksandrem Le Roy, urodzonym we francuskiej Normandji, która wydała wielu odważnych wilków morskich, piratów i świętych.

Na pytanie, czy jest wikarjuszem generalnym owej kongregacji zakonnej, sędziwy kapłan odrzekł:

— Tak, to prawda, że ja właśnie jestem wikarjuszem generalnym jednego z tych towarzystw złoczyńców, co nazywają się kongregacjami, oraz potrzebują aż specjalnego pozwolenia parlamentu francuskiego, by mogły istnieć... Nie mogę tylko zrozumieć, czem moja skromna osoba mogła zainteresować przedstawiciela opinji publicznej.

W odpowiedzi na to dziennikarz, czyniący wywiad, wyraził swój podziw dla zasłużonego misjonarza i organizatora kwitnących misyj, twórcy bogatych osiedli murzyńskich, sławnego geografa oraz etnologa, który teraz tak skromnie kryje się w swojej małej celce, gdzie siedzi między krzyżem ze słoniowej kości a globusem i zapytał go o miejsce urodzenia oraz okoliczności, w jakich budziło się w nim powołanie do pracy misyjnej.

— Urodziłem się w miejscowości Arvanche, w Normandji. Skończywszy studja miałem wrażenie, iż Francja obejdzie się beze mnie, a że posiadałem wiarę w Boga, ochotę do przygód, miłość ku czarnym murzynom, tudzież przywiązanie do prostego trybu życia, z tych oto przyczyn postanowiłem wybrać sobie stan misjonarza.

— Czy przypadkiem nie wpłynęła na to lektura „Pawła i Wirginji”, „Chaty wuja Toma”?...

— Być może. W 1877 r., zatem 52 lata temu, siadłem na okręt, odpływający do Zanzybaru, w Afryce, kędy kongregacja nasza pracowała już jakieś 15 lat. W Zanzybarze było wtedy największe targowisko niewolników. Rok rocznie sprzedawano tam tych nieszczęśliwych około 60.000. My, misjonarze staraliśmy się przedostawać do nich, ażeby ich pocieszyć, zbieraliśmy niewolników, chorych i porzuconych, których

właściciele byliby w przeciwnym razie powrzucali do morza, ponieważ dla nich był to towar „bez wartości". Gdy ceny niewolników nie były wyśrubowane zanadto, nierzadko wykupywaliśmy nieszczęśliwców. Myśmy urządzili tam też wielki sierociniec z dziatwy niewolniczej w wielkim domu nad samym brzegiem morza. Kiedy nasze sieroty podrastały, braliśmy po 50 chłopców oraz po 50 dziewcząt i łączyliśmy ich w małżeństwa. Urządziwszy im uroczystości weselne, prowadziliśmy ich potem do wiosek, gdzie stały przygotowone dla nich domy. Oprócz tego dawaliśmy im także narzędzia rolnicze, nasiona, dobre rady, nadewszystko zaś błogosławieństwo: „Rośnijcie i rozmnażajcie się, drogie dziatki!". Stąd właśnie wywodzić należy tak wielką w Somalisie w dobie bieżącej liczbę osiedli chrześcijańskich, które cieszą się nadzwyczajnym dobrobytem. Zasiew naszej działalności rozprzestrzenił się nietylko do Mozambiku, ale również w głąb kontynentu afrykańskiego. Teraz w głębi Afryki pracują Ojcowie biali, a my, Kongregacja św. Ducha, jedynie na wybrzeżu morskiem, jakoteż w górach.

— Czy to prawda, że to ojciec odkrył Kilimandżaro?

— Nie. Ten bogaty kraj przyciągał do siebie przedtem, jeszcze rozmaitych poprzedników. W 1885 r. przybyli tu na 5 wielkich okrętach wojennych Niemcy oraz oświadczyli sułtanowi Zanzybaru, iż Kilimandżaro biorą dla siebie. Oni rzekli doń poprostu: „Ten kwitnący kraj podoba się naszemu cesarzowi", na taki natomiast argument nie ma odpowiedzi. Co do nas, to my mamy tę oto chlubę, że byliśmy pierwszymi Francuzami, którzy zdołali wejść na szczyt Kilimandżaro, czyli góry Wodnej, jak ten wierzchołek nazywają tubylcy.

Nastąpiło to w 1890 r. Ks. biskup Le Roy z dwoma innymi misjonarzami wszedł wówczas pierwszy na szczyt Kilimandżaro pośród przeróżnych przygód, jakie on tak lubiał, i zatknął tam w śniegu mały drewniany krzyż.

Poświęciwszy Afryce wschodniej swoje serce oraz swoją młodość, musiał ją jednak z nakazu władzy duchownej opuścić i rozpocząć pracę na innem wybrzeżu, już jako biskup. W 1896 r. mianowany został generalnym superjorem Kongregacji św. Ducha.

„Na tem stanowisku pozostawałem ja przez lat 30 i na tem kończy się moja historja".

Ileż to pokory mieści się w tych kilku słowach!

Kongregacja św. Ducha ma 42 domy oraz zasobną armję misjonarzy, a mianowicie 1050 kapłanów, 600 braci i 150 zakonnic, w Afryce na Haitti, w Kanadzie, w Ameryce. Ta wielka gromada, rozsypana po wszelakich kontynentach, czerpie swe siły z dalekiego centrum w Europie. Prócz tego członkowie kongregacji owej kierują 30 diecezjami, wikarjatami i prefekturami apostolskiemi: jest to całe królestwo duchowe na olbrzymich terytorjach. Wszystko to podlega sędziwemu ks. biskupowi Le Roy, na którym jak z podziwem stwierdził czyniący z nim wywiad dziennikarz, nie znać wcale ciężaru 75 lat życia ani półwiecza ciężkiej pracy apostolskiej na misjach ani trudów uciążliwych podróży, zwłaszcza w czasie wielkiej wojny europejskiej oraz bezpośrednio po niej. Ks. biskup opowiedział ponadto, że w ciągu ostatniegc okresu wojennego zniszczone były w Afryce całkowicie podległe mu bogate misje, a misjonarze przez 4 lata byli odcięci zupełnie od świata kulturalnego i żyli tak samo, jak tamtejsi murzyni. Pomimo wszystko zarówno w Gabunie, gdzie dostojny misjonarz był biskupem przez 30 lat, jak i w Kamerunie, osiągnięto wielkie rezultaty, specjalnie po wyjściu Niemców, choć ci ostatni przedstawili murzynom Francuzów w takiem kiepskiem świetle, że tubylcy przed przybyszami francuskimi (urzędnikami oraz misjonarzami) uciekli w lasy. Wobec takiego stanu rzeczy kapłani misyjni musieli dopiero specjalnie nakłaniać oszukanych przez szowinistów niemieckich do powrotu, co kosztowało niemało trudów. Udało się to znakomicie, znowu zapanował dawny ład, liczba zaś chrześcijan z 30.000 wzrosła do 125.000. Francuzi wysłali tam nawet jedną misję, złożoną z zakonnic.

W tem miejscu ks. biskup Le Rov, uśmiechając się znacząco, zapytał dziennikarza:

— Może i pan lubi podróżować? Jeśli tak, mógłbym tam zarezerwować dla pana miejsce.

Za chwilę, spoważniawszy, dodał:

— Bez żadnej zarozumiałości mogę stwierdzić, iż my także coś zrobiliśmy dla ludzkości. Kiedy ja mówię: my, to mam na myśli innych, gdyż ja swoje zadanie skończyłem.

Wielki misjonarz zamilkł i zwrócił wzrok na jedyny kwiatek, co przyozdabiał jego stół, dziennikarz tedy pożegnał siedzącego między krzyżem a globusem, które naprawdę są symbolem jego życia i wyszedł. *J. M. Ch.*

---

# Sport a wychowanie chrześcijańskie młodego pokolenia.

## I.

W ostatnich kilku latach powojennych jesteśmy świadkami wprost żywiołowego ruchu sportowego na ziemiach polskich. Szeregi sportowców rosną z dnia na dzień. Pod znaki sportowe zaciągają się najszersze warstwy społeczne. Zagadnienie sportu urasta do ważnego problemu społecznego.

Nie można być obojętnym w stosunku do ruchu, który pochłania tyle energji społecznej. Można sportu niedoceniać, można sport przeceniać — trudno jest jednak przejść do porządku dziennego nad jego istnieniem i rozwojem. Dla każdego, kto się interesuje życiem społecznem Polski, tendencje ruchu sportowego nie mogą być obojętne — i nie są obojętne — świadczą o tem liczne publikacje naukowe, perjodyki fachowe i prasa codzienna.

Znani jesteśmy z wysuwania poglądów biegunowo oddalonych. W dyskusji nad rolą sportów nierzadko z poglądami sprzecznemi spotkać się możemy. Entuzjaści sportu głoszą, iż w życie wkracza nowy ideał — nowa religja (la religion nouvelle) — szerząca kult siły i piękna fizycznego. Okres wybujałego kultu, intelektu i sentymentów zakończył się bezpowrotnie. Ideałem czasów dzisiejszych nie jest „trzcina myśląca“ (typ intelektualisty), ani też poeta o bladym licu, smętnem spojrzeniu, szukający natchnienia w samotnych wędrówkach po błoniach, oświetlonych zimnym blaskiem miesiąca.

Dzisiejszy ideał — to sportsmen — rekordzista — człowiek niezwykłej żywotności, inicjatywy, odwagi — niekiedy lekkomyślnej — człowiek ruchu.

Reprezentanci poglądu przeciwnego stwierdzają, że współczesnej cywilizacji grozi kryzys ze strony sportowców. Żywiołowy ruch sportowy jest przejawem wojującego barbarzyństwa.

Książki naukowe nie mają zbytu, poezja piękna w upadku, intelekt młodych zaniedbany — zamiłowania do głębszych studjów naukowych rzadko spotykane. Wszystkich porywa boisko, masy roznamiętnia walka bokserów.

Zanik uczuć szlachetnych, brak subtelności w współżyciu ludzkiem — oto owoce ruchu sportowego. Trzeba więc trąbić na alarm, jeśli się nie chce dopuścić do obniżenia kultury ludzkiej.

Obydwa poglądy są skrajne. Mojem skromnem zadaniem będzie sprostowanie tych poglądów przez oświetlenie korzystnego wpływu sportów na fizjologiczny ustrój człowieka, przez podkreślenie narodowego i społecznego znaczenia sportów oraz przez uwypuklenie roli sportów w wychowaniu etycznem człowieka.

Jeśli bowiem stwierdzimy, że sporty umiejętnie i racjonalnie uprawiane, mają dodatni wpływ na harmonijny rozwój ustroju ludzkiego, że kultywowanie sportów posiada doniosłe znaczenie narodowe i społeczne, jeśli, co najważniejsza, ustalimy, że sport jest potężnym czynnikiem wychowania etycznego — wówczas, dzisiaj jeszcze liczne, skrajne poglądy na sport, będą musiały uledz należytej korekturze. Rozważania posuwać się będą następującemi etapami:

1. Co to jest sport? 2. Wpływ sportów na fizjologiczny rozwój człowieka. 3. Narodowe i społeczne zadanie sportów. 4. Rola sportu w wychowaniu etycznem człowieka. 5. O czem należy pamiętać przy uprawianiu sportów.

* * *

Niezależnie od postawionych wyżej zagadnień, być może, iż w przyszłości na łamach „Pro Christo" wyodrębnię i inne zagadnienia, wiążące się ze sportem i poświęcę im więcej miejsca.

Byłyby to następujące zagadnienia: Kościoł a sport, sport a moralność, sport jako szkoła woli, sport jako czynnik wychowania społecznego, sport a umysł, przyszłość ras ludzkich a sport, sport — wojna — pokój, sport życie rodzinne, sport a kobieta, sport a świętowanie świąt i niedziel, sport jako nowy ideał życia.

* * *

Poświęcimy nieco uwagi genezie słowa „sport."

Powszechne jest mniemanie, iż wyraz „sport" jest pochodzenia angielskiego. Istotnie, na ląd europejski wyraz ten przedostał się w końcu XIX wieku z wysp brytyjskich, lecz nie poraz pierwszy przybył, tylko powrócił, skąd przyszedł. Przejdźmy za tym wyrazem długą drogę przebytą.

Gdy w czasach rzymskich przystępowano do założenia nowego grodu, budowano go na przestrzeni ograniczonej rowem.

Szlak tego rowu nakreślał pług, prowadzony przez założycieli miasta, podczas uroczystej ceremonji. Przekraczać świętej granicy (rowu) nie wolno było nikomu, pragnąc jednak ułatwić komunikację z miastem, założyciel w pewnych miejscach pług podnosił tak, by lemiesz przestał ranić ziemię i brózda doznała przerwy. Wejścia te i wyjścia, późniejsze bramy, otrzymały nazwę „porta" (od „portare"), czynność zaś wydalania się poza obręb grodu powołała do życia czasowniki: deportare, transportare.

Starożytni rzadko opuszczali swój gród — gdy jednak taki moment następował, pozostali z drżeniem serca oczekiwali, czy działanie obywateli, których aktywność doprowadziła do desportu i transportu przyniesie ojczystemu miastu sławę i zwycięstwo, czy też smutek i klęskę.

Legjony Juljusza Cezara słowo „desport" zaniosły do Galji. Już na samym początku wieków średnich używane jest powszechnie, w królestwie Karlomana, do oznaczenia gier ruchowych, chodzenia, skakania, jazdy konnej, wszelkich ćwiczeń, do zawodów i turniejów przysposabiających, odbywających się zazwyczaj poza murami miejskiemi.

Przejąwszy kulturę galijską, najeźdźcy — Normanowie przejęli i „desport" i, po bitwie przy Hastings, obdarzyli niem mieszkańców wysp brytyjskich.

Już w XIV wieku poeta Chaucer używa zwrotu tego, mówiąc o pewnym młodzieńcu, że „chodził bawić się w polu, dla swego desportu".

Po obu stronach kanału La Manche wyrazu tego używać zaczęto jednak później, już nietylko w stosunku do ćwiczeń cielesnych, lecz i dla oznaczenia wszelkiego rodzaju rozrywki, gry, czy to połączonej z ruchem fizycznym, czy to posiadającej

charakter czysto umysłowej zabawy: gry słów, zagadki i t. p. Należy przy sposobności ustalić, iż w owym czasie i ćwiczenia fizyczne w większej były modzie i w większym szacunku we Francji, niż w Anglji. Anglja wtedy wprowadzała do siebie gry, popularne po tej stronie kanału, zachowując słownictwo francuskie.

W wieku XVI sir Robert Dallington twierdzi, że „w palanta (paume) we Francji grają więcej, niż w całej reszcie krajów chrześcijańskich", że „we Francji jest więcej zwolenników palanta, niż pijaków w Anglji" — co zdaje się uważał za przykład frapujący wyobraźnię. „Zresztą — kończy, zamiłowanie to do ćwiczeń jest zaraźliwe, i Anglja zdążyła już za wiele tych „głupstw absurdalnych" gościnnie przyjąć."

Czasy się zmieniają. Trzy stulecia przeszły i z Anglji przepłynęły do Francji zpowrotem i dawny palant, lawn-tennisem zwany, i wszystkie dawne „desporty", pod nazwą krótką i z angielska brzmiącą: „sport".

I tak samo przez pewien czas z ubolewaniem stwierdzano rozszerzenie się zarazy, zbyt pochopne naśladowanie Anglików, w rzeczach „obcych kulturze francuskiej".

A minął jeszcze dalszy dziesiątek lat i sport wszedł tryumfalnie przez wszystkie „bramy" rzymskim pługiem zaoszczędzone, do grodów, gdzie go ongi desportowanego, zapomniano i przyjęto, jako angielskiego przybysza.

I zda się, że znów poza bramy miast zaczęli wychodzić młodzieńcy żądni czynu, spragnieni przestrzeni i ruchu—i znowu pozostali nieraz z biciem serca oczekiwać poczęli wieści o powodzeniu — czy klęsce... sportsmenów. Historja się powtarza. Przystąpić już jednak pora do zdefinjowania sportu. Każda definicja jest trudna — i definicja sportu do łatwych nie należy.

Chociaż uprawiamy sami sport, chociaż duchem sportowym jesteśmy przejęci — to jednak na definicję sportu zdobyć się nie możemy. Idealnej definicji sportu niema. Przytoczę ich szereg, aby czytelnik mógł się łatwiej zorjentować—i ewentualnie z pośród licznych definicji wybrał tę, która najbardziej przemawia do przekonania. Może stanowisko w tej sprawie zaznaczę na końcu rozważań.

Paul Adam w znakomitym dziele „La morale de sporte" pisze: „Sportem nazywamy wszelką akcję, koordynującą szereg jednolitych i przemyślanych czynów, dążących do pomnożenia zręczności, odwagi i sił człowieka".

Poeta Kolmar rzuca lapidarnie „Sport jest środkiem pokonywania siebie i innych".

Paul Souchon i Jacques May w obszernem dziele o literaturze sportowej (Monde Nouveau z 1924 r.) wyrażają się również lakonicznie: „Sport jest walką i grą".

Baron Piotr Coubertin, odnowiciel igrzysk olimpijskich, we wstępie do „Wykładów o pedagogice sportowej" (Lozanna 1917) traktuje zagadnienie obszerniej:

„Sport jest kultem umyślnym i stałym, intensywnych ćwiczeń fizycznych, opartym o dążenie do postępu i mogącym posuwać się aż do ryzyka. Występuje więc pięć cech: inicjatywa, wytrwałość, natężenie, żądza postępu, pogarda dla ewentualnego niebezpieczeństwa. Te cechy są istotnemi i podstawowemi. Wypływają z nich 3 konsekwencje:

1) sportowość nie leży w naturze ludzkiej, jest w bezwzględnej sprzeczności z dążeniem do najmniejszego wysiłku, panującym w świecie zwierzęcym. Nie wystarcza więc dostarczyć mu ułatwień materjalnych, by sport się rozwijał czy zachowywał. Potrzebuje pobudek, wytworzonych przez namiętności, lub wychowanie. Badania historyczne powinny wyświetlić, jakie są nauki, doświadczenia w tym kierunku;

2) każde ćwiczenie fizyczne musi posiadać charakter sportowy, lecz i może go być pozbawione. Można bawić się w serso sportowo i niesportowo uprawiać wioślarkę. Nieracjonalne jest więc rozróżnianie pewnych rodzajów ćwiczeń, zakwalifikowanych jako sporty, i innych, którymby miana tego odmówiono;

3) sport, wymagając wywarcia przymusu na sobie, zimnej krwi, zmysłu obserwacyjnego, leży w sferze psychologji, nie mniej, niż w sferze fizjologji i może wpływać na intelekt, charakter, sumienie. Jest więc czynnikiem postępu moralnego i socjalnego".

Georges Hebert, twórca „metody naturalnej" wychowania fizycznego, tak się wyraża na łamach pisma „Education physique":

„Nazywam sportem wszelkiego rodzaju ćwiczenia, lub działalność fizyczną, których celem jest uzyskanie rezultatu i których wykonanie polega przedewszystkiem na idei walki z żywiołem określonym: czasem, przestrzenią, przeszkodą, trudnością materjalną, niebezpieczeństwem, zwierzęciem, przeciwnikiem, wreszcie samym sobą".

Nader ciekawą definicję sportu podaje znakomity powieściopisarz Marceli Prévost, krytykując w „Revue de France" z 15 grudnia 1922 r. określenie słowników encyklopedycznych Littré i Larousse'a. (Littré: „Sport: wszelkie ćwiczenia na powietrzu, jak naprzykład wyścigi konne, wiosłowanie, myśliwstwo, rybołóstwo, szermierka i t. d., Larousse: „Uprawianie metodyczne ćwiczeń fizycznych nietylko w celu ulepszenia ciała ludzkiego, lecz i kształcenia umysłu").

„Zachowawszy w definicji Larousse'a — pisze Marceli Prévost — przedewszystkiem, że sport jest ćwiczeniem metodycznem, dalej, że dąży do rozwoju ciała, wreszcie, że nie jest bez związku z intelektem i że na umysł wpływa dobroczynnie, postarajmy się skoordynować, sprecyzować to wszystko. Ćwiczenie metodyczne, zgoda, lecz przymiotnik jest niewystarczający. Nie oddaje myśli, niezręcznie wyrażonej przez Littré'go w jego „na powietrzu": myśli o zdrowotności.

Czy nie uważacie, że należałoby powiedzieć: ćwiczenie metodyczne i higjeniczne?

Dalej, ćwiczenie? Jakiego rodzaju ćwiczenie? Fizyczne, odpowiada to jedno z obu określeń, które o tem pomyślało: to jest zupełnie niewystarczające, mojem zdaniem. Czy jest sportem płókanie gardła? Jest jednak ćwiczeniem fizycznem. Dowód „per absurdum", iż lepiej jest sprecyzować i rzec: ćwiczenie metodyczne i higjeniczne ciała ludzkiego. Możnaby powiedzieć: mięśni ciała ludzkiego. Ale czy nie napotkanoby na sprzeciwy: nietylko mięśnie wchodzą w grę w sporcie. Cały system nerwowy jest zatrudniony. Zaproponujemy więc i ćwiczenie metodyczne i higjeniczne ciała ludzkiego. Lecz w jakim celu uprawiane? Tu uwydatnia się nieudolność obu słowników. Zaznaczyliśmy mgliste pojęcie ulepszenia rozwoju. Dlaczego nie wyszczególnić, czego ciało chce od sportu? Więcej siły, niezawodnie; więcej zręczności również; lecz nie wahajmy się dodać: więcej piękna. Jest to jedna z charaktery-

styk sportu współczesnego, który powraca w ten sposób do jednej z koncepcyj zasadniczych gimnastyki starogreckiej.

Definicja nasza postępuje naprzód! Ćwiczenie metodyczne i higjeniczne ciała ludzkiego, dążące do pomnożenia jego siły, zręczności i piękna.

Proponowano do przymiotnika „metodyczne" dodać „umyślne". Nie przyłączam się. Młody rekrut — wieśniak, któremu każą się gimnastykować, zajmuje się sportem wybitnie nie z umyślnej chęci, ale się nim zajmuje. Co jest niezaprzeczone, to to, że wynikiem praktyk sportowych jest wychowanie woli, i że jest to nawet jednym z celów sportu.

Powiedzmy więc: sport: ćwiczenie metodyczne i higjeniczne ciała ludzkiego, dążące do pomnożenia jego siły, zręczności i piękna oraz rozwoju energji i woli. Czy należy się tem zadowolić? O nie. Oznaczałoby to odmowę odznaczenia związku pomiędzy sportem a umysłem, na który definicja Larousse'a dość niezgrabnie zwraca uwagę. Związek ten istnieje. Rozdzielić sport i myśl, to nietylko popełnić błąd taktyczny, lecz wejść w sprzeczność z samą logiką języka.

Słowo „sport" bowiem równie jak słowo „flirt"—nie wywyszło z drugiej strony La Manche. Naodwrót, „sport" powstał z dawnego słowa „desport" — które oznaczało zabawę.

Myśl, że w sporcie znajduje wypoczynek umysł, jest zasadnicza i powinna być wyrażona w określeniu ścisłem i kompletnem.

Oto dlaczego, w końcu — definicja następująca mogłaby przedstawiać przynajmniej szkic tego, czego wymagamy:

Sport: *„ćwiczenie metodyczne i higjeniczne ciała ludzkiego, dążące do pomnożenia jego siły, zręczności i piękna oraz rozwoju energji i woli, przy jednoczesnem dostarczeniu wypoczynku umysłowi."*

Drugi znany literat i krytyk, Marceli Boulenger, w „Echo de Paris" z dnia 28 grudnia 1922 r., stwierdzając wprawdzie, iż „Marcel Prevost zawsze wszystko rozumie i mówi o sporcie z takąż jasnością i znajomością rzeczy, jak dwudziestoletni atleta" — definicji wyżej podanej nie uznaje za dostatecznie dokładną.

„Należałoby zaznaczyć, że gdzie niema właściwego sportu najwyżej może być zaprawa. Gimnastyka szwedzka jest zaprawą do sportu, lecz nie sportem.

Walka jest jedną z cech zasadniczych sportu: walka z przeciwnikiem, z koniem, z maszyną, z żywiołem, jak w żeglarstwie i lotnictwie, lub też z przestrzenią i czasem, jak przy ustanawianiu rekordu. Pozatem, przymiotnik „metodyczne" wydaje się bladym, gdy chodzi o podkreślenie znaczenia kapitalnego, wprost pierwszorzędnego regulaminu w sporcie. Jeśli walka, jeśli wysiłek nie są poddane przyjętym przepisom — niema pozytywnie sportu.

Nie można powiedzieć, by polowanie na dzikie zwierzęta, albo alpinizm posiadały ściśle charakter sportu; są to wspaniałe przedsięwzięcia, wielkie wysiłki mięśniowe, lecz staną się dokładnie sportem dopiero, jeśli wolno będzie zabić tygrysa w pewien tylko sposób, z wyłączeniem innych, lub też wcześniej od innego myśliwego, wydostać sie na szczyt, po zgóry wyznaczonej drodze i szybciej od innego alpinisty. Wreszcie są zwierzęta, sport zwierząt. Jak nie zaliczyć wyścigów konnych do sportu, albo cudownych wyścigów chartów, tak doskonale unormowanych?

Coby pomyślano, z tą chwilą, o określeniu następującem: *Całość wysiłków mięśniowych spowodowanych wysiłkiem woli i wykonanych przez ludzi lub pewne zwierzęta, poaczas walki, poddanej przepisom przyjętym, w celu pomnożenia siły, zręczności i piękna ludzkiego, lub zwierzęcego oraz dostarczenia wypoczynku umysłowi.*

Podałem definicje obu wybitnych literatów, zarazem będących czynnemi sportowcami, aby oświetlić bardzo jasnem światłem problem sportu.

Sport jest środkiem — w zależności od tego, jak z tego środka korzystać będziemy, jakie będzie nasze do niego nastawienie ideowe, takie on wyda owoce, sport bowiem umiejętnie uprawiany i właściwie traktowany podniesie nietylko naszą sprawność fizyczną, nietylko dobroczynnie podziała na zdrowie i na umysł, który odświeży — ale i zaznaczy się niewątpliwie dodatnio na naszym charakterze.

*Bogumił Budka.*

# Nowy wabik na naiwnych.

Walka otwarta, którą wrogowie Kościoła katolickiego prowadzą obecnie w tempie coraz gwałtowniejszem, nie jest, zdaje się, odosobnioną, bo czynniki też same lub do nich zbliżone równocześnie wiodą walkę ukrytą, podziemną, mającą na celu rozsadzenie katolicyzmu od wewnątrz.

Jedną z macek tego potwornego polipa, który chce wyssać z Kościoła katolickiego soki żywotne, jego moc i siłę, jest teozofja. W dobie bieżącej nie ulega najmniejszej wątpliwości, ponieważ jest to rzeczą wyjaśnioną na podstawie dokumentów, że rojenia teozoficzne, które, według zapowiedzi z przed paru lat, wyszłej z ust urzędowej i przysięgłej apostołki-teozofki, miały służyć do „pogłębiania katolicyzmu" w Polsce, — wielkiej naprawdę trzeba bezczelności, aby publicznie rzucać takie oświadczenia—w istocie są tylko wabikiem, a placówki teozofów ekspozyturą masonerji, która za zadanie ma podważenie w katolikach uznania dla autorytetu, co jest pierwszym etapem odstępstwa.

Rękę masońską także wyśledzić można w działalności sekt, które, miast iść gdzieś między Buszmenów, Hotentotów, Kiwarosów, Samojedów czy innych pogan,—tych przecie jest z górą miljon—dziwnie uparły się i chcą nawracać Polaków. Że masoni mają tutaj spory udział, dość przypomnieć głośną przed paru laty sprawę, gdzie zdemaskowane zostało subsydjowanie sekty badaczy Pisma św. przez masońskie loże szwajcarskie.

Do teozofji zaciągać się niejeden inteligent polski nie chce, tembardziej niema odwagi przyłączać się do sekciarzy, albowiem katolicyzm tak wszedł u nas w jaźń narodu, że rozstanie się z mianem katolika oraz z katolickiemi ceremonjami zewnętrznemi jest dla niejednego czemś nie do przeżycia *), więc zawodowi burzyciele Kościoła katolickiego wymyślili coś nowego:—jak doszły nas wieści—„liberalny Kościół katolicki".

---

*) Jako przykład, pozwolę sobie tu przytoczyć taki fakt, że jedna z mych sąsiadek dla wyjścia za mąż za drugiego przeszła na wyznanie ewangelicko-reformowane, tymczasem, choć od ślubu w kirsze przeszło już lat parę, regularnie co niedziela widuję ją na Mszy św. w kościele. Trudno — słowo daję—o większe pomieszanie pojęć.

Co to za potworek jest z tego noworodka, trudno narazie osądzić dokładnie, dotąd bowiem cicho jeszcze wszędzie o tem, ale są pewne fakty, które dużo dają do myślenia.

Od niejakiego czasu na łamach warszawskiej „Epoki", pozostającej na usługach masońskiego Wielkiego Wschodu ukazują się artykuły o zagadnieniach religijnych, podpisane literą „L.", a zaopatrywane przez redakcję w dopisek, że elaborat ów nadesłano jej ze sfer „katolicyzmu oświeconego". Laik weźmie to za pracę „katolicką", tak bowiem głosi informacja redakcyjna, w rzeczy samej jednak artykuły tamte z katolicyzmem mają tyle wspólnego, co Talmud z Ewangelją. Wywody tajemniczego „L"'a przesiąknięte są takim duchem indyferentyzmu, takiem traktowaniem najważniejszych zagadnień katolicyzmu jakby piątego koła u wozu, iż katolik, który bodaj trochę zna katechizm, — wśród inteligentów takich trzeba szukać ze świecą — oburzyć się musi po przeczytaniu „epokowych" enuncjacyj, jakiem prawem wilk-libertyn bez wdziania nawet na siebie owczej skóry śmie udawać owcę-katolika. Toć odeń radykalnym liberalizmem zalatuje aż na milę, a nauka Kościoła katolickiego, jej najistotniejsza treść obchodzi go akurat tyle co zeszłoroczny śnieg.

„Liberalny katolicyzm" jest snać obliczony na to, ażeby tych, którym przykro wyrzec się miana katolików, oderwać od Owczarni Chrystusowej przez podszycie się pod miano katolicyzmu (na przymiotniki określające z zasady niemal nikt nie zwraca uwagi). Pomyślane to jest z prawdziwie żydowską chytrością, wobec czego na ten nowy wabik w te nowe sidła wpaść może wielu naiwnych katolików, zwłaszcza inteligentów, należy więc przestrzec ich przed tem już teraz, gdy ów ruch stawia dopiero pierwsze kroki.

Czy „liberalny katolicyzm" jest narazie tylko ideą, wysnutą przez kilku mędrków, czy też stoi poza nim jaka organizacja religijna? W sprawie tej nic pewnego powiedzieć nie mogę, lecz dziwnej wymowy nabiera w obliczu tego fakt, iż w drukarni Władysława Łazarskiego w Warszawie w roku bieżącym wydrukowana została „Liturgja Liberalnego Kościoła Katolickiego w Polsce", licząca aż sto siedemdziesiąt dwie strony. Czy wydawnictwo to ma jakikolwiek związek z artykułami z „Epoki"? Bóg raczy wiedzieć o tem, kto wie wszakże, czy nie szykuje się taka placówka w najbliższej przyszłości.

Jak jest, tak jest. Czekajmy cierpliwie, a może okaże się to niezadługo, przytem zaś nie zapominajmy szykować naszych sił, aby w razie uderzenia i natarcia z tamtej strony móc odeprzeć atak momentalnie! Przerażać się tem, nie przerażajmy, czuwajmy jedynie, a bądźmy gotowi! Gdy będziem przygotowani, nie straszny nam będzie wróg.

Warszawski „Głos Ewangelicki", „pismo tygodniowe, poświęcone sprawom Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce" z dnia 7-go lipca r. b. zamieścił artykuł „Ew."'a „Pol."'a p. t. „O świeży powiew ducha religijnego w Polsce", gdzie autor, wspominając o artykułach z „Epoki", wylewa łzy krokodyle nad tem, że „te szlachetne (!) i nader mądre (!!) i spokojne (szkoda, iż niema więcej określeń) wywody trafiają tylko do czytelników „Epoki", którzy już nie potrzebują być przekonywani o konieczności wolności sumienia, nie trafiają zaś do szerszych mas... W takich warunkach najszlachetniejsze (!?!) wysiłki autora artykułów „Epoki" nie zdadzą się na nic". Dałby Bóg, żeby się tak stało, ale—powtarzam—czuwajmy, bo a nuż indyferentne swe poglądy „liberalni katolicy" poczną szczepić w masach przez broszury!

Na zakończenie jedna jeszcze uwaga.

W stosunkach handlowych podszywanie się pod nazwę innego jakiegoś towarzystwa jest karane i to surowo, dlaczego natomiast nie są karani ci, co podszywają się z bezczelnością pod katolicyzm? Dlaczego to wolno im stroić się w cudze piórka? Czy nie należałoby im tego zabronić? Rozsądek mówi, że tak i to jaknajprędzej. *Stanisław Żelechowski.*

---

# Ostrzeżenie.

Wpadła mi w tych dniach w ręce książka Sophus'a Michaëlis, p. t. „1812—Wieczny Sen", powieść (mająca stempel bibljoteki jednej ze szkół prowincjonalnych żeńskich).

Przejrzałem jej treść, napisaną z wielkim rozmachem, fantazją i napięciem dramatycznem, ilustrującem losy nieszczęśliwej wyprawy Napoleona I do Rosji, a chociaż opowieść tę nie można uważać za całkiem odpowiednią dla uczącej się młodzieży, to jednak wypada przyznać, że napisana jest z dużym talentem.

Niestety, zalety wymienionego utworu psuje przedmowa, której autorem jest p. Alfred Iwieński, narzucający czytelnikowi swoją chorobliwą ideologję. Jest nią jakieś półtrzeźwe majaczenie o „pięknym majestacie katastrof", o „sakramencie śmierci", o „lubieżnym", iście sadystycznym „zapachu krwi ludzkiej". P. Iwieński, z rodzajem fanatycznej dumy ignoranta w rzeczach wiary, bredzi o wszechświecie, jako „grze przypadku", o śmierci, jako przejściu ze świadomości w bezświadomość i wzdycha do prastarej epoki królów babilońskich i faraonów egipskich, która była kultem śmierci... I dlatego-to legendowego bohatera w trójgraniastym kapeluszu nazywa „cudem i objawieniem świata, bogiem wojny i... ludzi"!

Po wyładowaniu jednak z siebie fałszywego patosu, autor przedmowy wpada w iście sadystyczną pasję, skierowaną do polskiej kobiety, którą nazywa „białą djablicą", naszem narodowem przekleństwem, złowrogiem szatanem.

Nawet takie czcigodne imiona autorek, jak Klementyny z Tańskich Hoffmanowej i Elizy Orzeszkowej oraz bohaterek powieści naszych czołowych pisarzy, jak Marynia Połaniecka, Madzia, nastręczają p. Iwieńskiemu pretekst do oskarżania, o „zatruwanie dusz polskich mdłą moralnością, łzawym sentymentem" i t. p. Nic też dziwnego, że autor przedmowy wzdycha do swego ideału „kobiety polskiej, z instynktami samicy, z wiecznym uśmiechem na wargach, oddanej niepodzielnie swej kobiecej pasji i żądzy"...!

Przedmowę do „Wiecznego Snu" napisał p. Alfred Iwieński w styczniu 1913 r., nie przewidując widocznie, że niedługo potem ziści się jego marzenie o ideale kobiety, tylko nie wśród narodu polskiego, lecz w sąsiedniej Rosji bolszewickiej, rozumie się i tam jedynie wśród zwyrodniałych wyjątków, z liczby członkiń czrezwyczajek.

A teraz po zaznajomieniu czytelnika z treścią tej niemoralnej i tak mało normalnej przedmowy do „Wiecznego Snu", godzi się zapytać, czy kierowniczka szkoły żeńskiej świadomie zaopatrzył a księgozbiór szkolny w tak niepedagogiczną i poniewierającą godność Polki książkę? Chyba nie, bo byłoby to zjawiskiem całkiem niezrozumiałem. Inna rzecz, że ponosi ona całkowitą odpowiedzialność za tak bezkrytyczne, czy bezwiedne, propagowanie wśród swych wychowanic tak skandalicznej interpretacji utworu belletrystycznego.

Z tego więc powodu nie będzie rzeczą zbyteczną zwrócić uwagę katolickich czytelników, jak doniosłe znaczenie posiadają niedawno zapoczątkowane dnie propagandy dobrej prasy, którą rozpoczęły w Krakowie Sodalicje Marjańskie łącznie z młodzieżą akademicką w m. marcu r. b., a w Warszawie w połowie ub. m. czerwca. Jak mi wiadomo, zachęcone powodzeniem tej imprezy, Sodalicje Marj. i młodzież większych miast naszego kraju również czynią przygotowania w tym kierunku.

*L. M. Starzyński.*

---

# Ofiary brakowe.

Znaną jest legenda o prostaku, do którego nie doszło jeszcze światło wiary świętej, że chcąc uczcić nieznanego mu Stwórcę, którego odczuwał w roztaczającej się przed nim księdze przyrody, wykopał rów i przeskakiwał przez niego; gdy skok był udatny wykrzykiwał: „To tobie Panie na chwałę", a gdy skok się nie udał, „To dla mnie"! wołał.

Ta legenda zawsze mi się przypomina, gdy patrzę na krzyże przydrożne i figury „ozdobione" wybrakowanemi i zniszczonemi figurami świętych.

Tamten prostak wyrozumował sobie, że co lepsze, to — Bogu, i ofiarowywał to co udatnie mu wyszło, tu na odwrót; tak jakby mówiono: „Naści Tobie Panie Boże, co mi przydać się nie może".

I jest że to ofiara? A toż gdyby równemu sobie ktoś dał w prezencie skorupę, toby jej nie przyjął; i ktoby nawet śmiał czemś podobnem się ośmieszać. I czyż może to być miłem Bogu?

No ale jest w tem i druga strona medalu, która poniekąd usprawiedliwia takich ofiarników: znajdują się oni też w niemałym kłopocie, gdy im się figurka stłucze; nie chcąc wtedy znieważać świętości przez wyrzucenie do śmietnika, bowiem ogień tego nie strawi, przez poszanowanie tego, wynoszą z domu pod figurę lub krzyż i zbywają się kłopotu. Bo i cóż zrobić, obraz zniszczony można w ogniu spalić, a tego ogień się nie ima, zaś wyrzucić — profanacja.

Otóż, jabym dał taką radę: Każdy prawie, ma kogoś na cmentarzu w mogile; zanieść tedy na grób; naturalnie nie dla przyozdobienia, ale zakopać w ziemię. Byłoby to najwłaściwszem rzecz poświęconą — w poświęconej ziemi zagrzebać. A dla ozdabiania krzyży i figur, świeże kwiaty i lampki, dawać na ofiarę.

*Jan Nawrocki.*

---

# WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

## Kapłan - Społecznik.
## Ś. p. ks senator Jan Albrecht.

Kościół katolicki i społeczeństwo polskie, jak również ruch chrześcijańsko-społeczny poniosły stratę niepowetowaną. W dniu 6 lipca zmarł ks. senator Jan Albrecht, szambelan Jego Świątobliwości, kawaler orderu, „Pro Eclesia et Pontifice" główny patron Stowarzyszeń Robotników Chrześcijańskich i generalny sekretarz do spraw społecznych przy kurji Arcybiskupiej w Warszawie.

Ś. p. ks. Jan Albrecht urodził się w r. 1872, średnie studja ukończył w Piotrkowie, a seminarjum duchowne w Warszawie. Dla pogłębienia swej wiedzy społecznej odbył pozatem szereg studjów podczas swoich podróży w Niemczech, Szwajcarji, Holandji, Austrji i Włoszech.

Pracę swą duszpasterską prowadził głównie w Łodzi do r. 1919, a następnie w Warszawie. W Łodzi był proboszczem parafji św. Józefa, a w Warszawie — rektorem kościoła Św. Marcina (Poaugustjańskim) i honorowym kanonikiem katedralnym.

Pracę społeczną Zmarły rozpoczął w r. 1904, zakładając w nadzwyczaj trudnych i uciążliwych warunkach, pierwsze Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich w Łodzi. Świeżo powstałym placówkom groziły z jednej strony represje i wszelkie utrudnienia ze strony władz zaborczych, tak, że praca częściowo musiała być prowadzona konspiracyjnie, z drugiej zaś strony socjaliści, strzegąc zazdrośnie dotychczasowego swego monopolu na warstwy robotnicze, przeszkadzali na każdym kroku poczynaniom chrześcijańsko-społecznym, nie cofa-

jąc się często przed użyciem gwałtu, któremu trzeba było nieraz siłą się przeciwstawiać.

Mimo tak ciężkich i trudnych warunków ś. p. ks. Jan Albrecht pokonał powoli wszystkie stojące mu na drodze przeszkody i doprowadził do tego, że praca przez Niego zapoczątkowana rozwinęła się świetnie na terenie Łodzi, szeregi robotnicze, zgrupowane pod sztandarami chrześcijańsko-społecznymi doszły wkrótce do dziesiątków tysięcy, został wzniesiony dom ludowy i powstało szereg pożytecznych dla robotników instytucji i urządzeń. Pc dziś dzień ruch chrześcijańsko-społeczny w Łodzi, a zwłaszcza jego część kulturalno-oświatowa: Stow. Rob. Chrześcijańskich --rozwija się i postępuje naprzód na podstawach ufundowanych przez ś.p. ks. Albrechta.

W r. 1919 ś.p. ks. Jan Albrecht przechodzi do Warszawy, jako znany już i ceniony w szerokich kołach społeczeństwa działacz chrześcijańsko-społeczny i obejmuje kierownictwo nad stowarzyszeniami Robotników Chrześcijańskich na terenie Archidjecezji. Praca jego idzie w kilku kierunkach. Był inicjatorem, założycielem i prezesem rady spółdzielni mieszkaniowej „Zgoda", która wybudowała kilka domów na Żoliborzu i uwolniła od klęski mieszkaniowej kilkadziesiąt rodzin robotniczych i pracowniczych, prezesem rady nadzorczej kasy robotniczo-rzemieślniczej, prezesem katolickiego towarzystwa grzebania zmarłych, wydawcą i kierownikiem tygodnika „Pracownik Polski", prezesem katolickiego t-wa wydawniczego. Wspólnie z zarządami Stow. Rob. Chrześcijańskich, którym zawsze ofiarowywał najwięcej swej pracy i inicjatywy, organizował kolonje letnie dla dzieci i dorosłych, kursa przygotowawczo-techniczne, świetlice robotnicze i inne przedsięwzięcia, mające na celu polepszenienie doli materjalnej i wychowanie w zasadach Chrystusowych warstw pracujących. Czynnie i wydatnie współpracował również z Chrześcijańskiemi Związkami Zawodowemi. Był członkiem założycielem i członkiem Zarządu Głównego Chrześcijańskiego Uniwersytetu Robotniczego. W ostatnich latach założył kilka Stow. Mł. Polskiej i Koło studjów chrześcijańsko-społecznych Warszawie.

Pracował również na terenie politycznym. Jeden z pierwszych i najwybitniejszych członków Chrześcijańskiej Demokracji, wybrany dwukrotnie do Senatu: w r. 1922 z listy woj.

łódzkiego, a w r. 1928 z listy państwowej Ch. D. i Piasta № 25, przy każdej nadarzającej się okazji bronił wytrwale religji i Kościoła oraz słusznych postulatów społecznych. Ostatnio był referentem budżetu opieki społecznej. Polskie Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji, w którego władzach naczelnych stale uczestniczył, powierzało Mu nieraz najtrudniejsze misje i zadania, wymagające wybitnego charakteru, poświęcenia i energji.

Zaiste, trudno byłoby wyliczyć i zmieścić w ramach jednego artykułu wszystkie prace i przedsięwzięcia, które prowadził, lub im przewodniczył — tak rozległa i szeroka była Jego działalność, tak wielka pracowitość i energja!

Nieraz miałem zaszczyt spotykać się ze ś. p. ks. senatorem Albrechtem i współpracować z Nim, zwłaszcza w ostatnich latach Jego działalności. Po dziś dzień stoi mi w pamięci pewne zebranie Chrześc. Zw. Młodz. Pracującej „Odrodzenie", na którym ks. Senator opowiadał nam początki swojej działalności społecznej i specjalnie podreślił pewien wypadek jaskrawej niesprawiedliwości i niesumienności ze strony pewnego przedsiębiorcy wobec robotników, którego był w swoim czasie świadkiem w Łodzi.

Wypadek ten wywarł głębokie wrażenie na młodym, szlachetnym sercu, chętnym do walki o sprawiedliwość w myśl słów Chrystusa: Błogosławieni, którzy cierpią dla sprawiedliwości... i stał się przełomowym faktem w Jego życiu. Odtąd zaczął studjować pilnie Encyklikę Rerum Novarum i inne wskazania Kościoła i nauki katolickiej, dotyczące stosunku pracy do kapitału. Wkrótce potem wstąpił do Seminarjum, został księdzem i całe swe pracowite życie poświęcił—rozszerzając niejako zakres swojego duszpasterstwa—akcji społecznej, działalności nad podniesieniem moralnym i materjalnym warstw pracujących.

Ś. p. Ks. Senator jest prawdziwym wzorem ciężkiej i bezinteresownej pracy społecznej, zwłaszcza dla dzisiejszego pokolenia inteligencji katolickiej, które odznacza się obojętnością wobec zagadnień socjalnych i bardzo wygodnym, a jednostronnym pojmowaniem i komentowaniem tego pojęcia, które Ojcowie Kościoła określali mianem: Charitas. To też na palcach można policzyć ludzi dzisiejszego pokolenia, którzyby tyle po-

święcenia i energji włożyli w rzetelną pracę społeczną. co ś. p. ks. Senator Albrecht!

Praca społeczna wśród mas robotniczych trudna jest i uciążliwa, wymaga wielkiego samozaparcia i poświęcenia na każdym kroku, wysiłku zarówno moralnego, jak i fizycznego, a przedewszystkiem ukochania bliźnich, zrozumienia ich potrzeb i dążeń, wielkiego i szerokiego poglądu na społeczeństwo, jego warstwy, ich cele i zadania.

Ś. p. ks. Jan Albrecht był działaczem społecznym z Bożej woli i łaski, prawdziwym artystą w tej dziedzinie, obdarzanym iskrą Bożą, szczytnym powołaniem duszpasterskim i społecznym zarazem.

Poglądy Jego ideowe, wprost i konsekwentnie wypływające z zasad Wiary Katolickiej, pogłębiane i rozszerzane studjami, które prowadził całe życie, jasne były i niewzruszane. Gdy ś. p. ks. Jan Albrecht wstąpił na mównicę, słowa Jego były proste, nacechowane powagą i godnością i choć nie starał się nigdy specjalnie o żadne efekty krasnomówcze — przemówienia Jego i wykłady odznaczały się taką mocą i energją wewnętrzną, tak głębokim i ugruntowanym przekonaniem, że bardzo często nawet zdeklarowani przeciwnicy nie mogli im się oprzeć i musieli przyznać słuszność.

Na specjalne podkreślenie zasługuje Jego miłość i ofiarność wobec warstw pracujących, oparte na głębokim i realnie pojętym patrjotyźmie. Ś. p. ks. Senator zdawał sobie dokładnie sprawę, że Naród nie jest pojęciem abstrakcyjnym, przeznaczonym do odmieniania przez rozmaite przypadki i liczby, lecz żywym organizmem, złożonym z warstw społecznych, że między tymi warstwami winna panować harmonja i współdziałanie, oparte na sprawiedliwych stosunkach gospodarczo-społecznych, i wreszcie że pierwszym obowiązkiem inteligencji katolickiej jest praca dla warstw ludowych i wśród warst ludowych dla ich podniesienia moralnego i materjalnego, aby nie wpadły w sidła komunizmu i socjalizmu i nie zostały stracone dla Narodu. Zdawał sobie z tego jasno i dokładnie sprawę od zarania swojej działalności i poglądy te starał się rozszerzać całe życie wśród jaknajliczniejszych kół inteligencji, był jednym z pierwszych pionierów tych poglądów i jeżeli pod niec życia smutek czasem ogarniał Jego serce, głęboko

odczuwające potrzeby Ojczyzny i jej warstw— a wiedzą o tem ci, co z Nim pracowali — to działo się dlatego, że zbyt mały odsetek naszej inteligencji okazywał zrozumienie dla tych potrzeb i chęć pracy nad ich zaspokojeniem. Mimo wszakże licznych trudności, a nawet kłód rzucanych pod nogi przez przeciwników, duch Jego mocny i silny nigdy nie zachwiał się, nigdy nie zrezygnował z pracy nad realizowaniem idei. Pracę tę: planową i systematyczną, codzienną i żmudną—prowadził do ostatnich dni swego owocnego życia.

Ś. p. ks. Jan Albrecht był demokratą chrześcijańskim czystej krwi—nietylko dlatego, że należał do grona założycieli i najwybitniejszych członków „Chrześcijańskiej Demokracji" zgodnie ze wskazaniami Encykliki Rerum Novarum i Graves de communi, lecz w pierwszym rzędzie dlatego, że pracował dla ludu i wśród ludu i miał dla niego zawsze dużo serca i zrozumienia. Każdy robotnik mógł zawsze zwrócić się do ks. sanatora w każdej sprawie i jeżeli tylko był człowiekiem dobrej woli, spotykało go ojcowskie, serdeczne przyjęcie, sprawiedliwe potraktowanie, a w miarę możności natychmiastowa pomoc w jego potrzebach i życzeniach. Wiedzą o tem szerokie koła robotników, zgrupowanych pod sztandarami chrześcijańsko-społecznemi przedewszystkiem w Łodzi i Warszawie, gdzie najwięcej pracował i działał To też nic dziwnego, że śmierć Jego wywołała tak żywy odruch żalu wśród mas robotniczych, które straciły w Nim długoletniego opiekuna i kierownika, że pogrzeb Jego był wielką manifestacją, w której wzięły udział delegacje robotnicze z Warszawy, Łodzi, Częstochowy, Zagłębia, Radomia, Białegostoku i innych najodleglejszych części kraju, że nad otwartą mogiłą przemawiali ze łzami w oczach, oprócz duchowieństwa, świeccy przedstawiciele całego ruchu chrześcijańsko-społecznego: Stowarzyszeń Robotników Chrześcijańskich, Chrześcijańskich Związków Zawodowych, Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji, Chrześc. Uniwersytetu Robotniczego, młodzieży chrześcijańsko-społecznej itd.

Zaiste, nietylko ruch chrześcijańsko-społeczny, ale całe społeczeństwo polskie poniosło stratę poważną i niepowetowaną. Bóg powołał ś. p. ks. Jana Albrechta przed Swoje Oblicze,pozostały jednak po Nim dzieła, które tu na ziemi wykonał, szerząc każdego dnia Królestwo Chrystusowe i pracując

ofiarnie dla bliźnich. Pozostała po śmierci ,po Nim ta „siła", o której pisze Słowacki w „Testamencie", że Jemu samemu ona „na nic, jedno czoło zdobi", lecz na pokolenie współczesne musi wywrzeć swój wpływ, pobudzając w nim jednostki lepsze i aktywniejsze do pójścia w ślady, do dalszego prowadzenia wielkiego dzieła „instaurare omnia in Christo".

*Stefan Kaczorowski.*

---

# DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

## „Święty Boże"!

— Więc ta stodoła jest tutaj kościołem, zdziwił się Romek Niebędzki, gdy powóz wjechał na obszerny plac, po którym przechadzało się chłopstwo odświętnie ubrane.

Starszy nieco jego towarzysz nie odrzekł nic, zamyślony widocznie.

Weszli przez proste wrota do obszernego budynku, w którym w głębi widać było jaskrawo przystrojony ołtarz i małe wzniesienie, służące pewnie za ambonę. Na krokwiach, na których rozpościerał się słomiany dach, naprzeciw ołtarza widać było coś w rodzaju chóru. Stała tam nieduża fisharmonja i krzesło dla organisty. Kilka ławek pośrodku tej szopy-kościoła i krzycząco barwne chorągwie dopełniały urządzenia wnętrza.

W chwilę po wejściu chłopców rozległ się dzwonek, a prawie równocześnie z góry odezwały się fałszywe tony organków.

Msza przerywana była śpiewem z chóru i organisty, śpiewem, który brzmiał tak jakoś okropnie, że chwilami słuchanie stawało się wprost niemożliwem.

Przeszło już pół godziny i godzina, a do końca jeszcze było daleko. Romek zaczął się wreszcie niecierpliwić i szepnął do towarzysza:—Wychodźmy już, ciasno tu, duszno i końca doczekać się nie można.

— Zaraz po mszy św., nie czekając na suplikacje, odjedziemy—ten odrzekł.

Zaczęli przepychać się ku wyjściu.

Wreszcie ofiara się skończyła i lud cały padł na kolana, by wznieść ostatnie prośby do Stwórcy.

Proboszcz staruszek ukląkł u stóp ołtarza i zaintonował słabym drżącym głosem: Święty Boże, Święty Mocny, Święty, a Nieśmiertelny... Chór zmieszanych głosów podchwycił tę pieśń, tak prostą, a tak do duszy każdego przemawiającą.

Lud przed chwilą leniwy, apatyczny, rzekłbyś martwy, rozbudził się jakby. Buchnęła pieśń namiętnie, żywiołowo, a wiernie zarazem. Uderzył głos potężną falą, zalewając cały kościół, rwąc się gdzieś daleko poza jego ściany, dążąc wprost do stóp Bożego tronu. Z pierwszym tonem pieśni przyklękli i chłopcy, dołączając swe głosy, do głosów wszystkich. I nie widzieli już wtedy drewnianych, grubo ciosanych belek, ani brzydkich, jaskrawych chorągwi, nie było im ciasno, ani duszno; myśleli wtenczas, że tak czuć, jak w tej chwili, tak wznosić się, odrywać od ziemi jakże wielką jest rozkoszą dla człowieka, dla jego nieśmiertelnej duszy.

Wkrótce przebrzmiał śpiew, towarzysze wyszli z kościoła, skierowując się do czekającego na nich powozu. Ale jeszcze wrażenie nie znikło.

Wreszcie Romek przetarł czoło i powiedział: — I tu, w tym nędznym, małym kościołku można znaleść prawdziwe szczęście, a szczęście wielkie i zaznać wielkiej radości. — Nietylko ciasnoty i zaduchu — uśmiechnął się starszy towarzysz. *Ł. R.*

# Z ŻYCIA MŁODZIEŻY KATOLICKIEJ.

## Pierwszy Zjazd Delegatów Chrześ. Związku Młodzieży Pracującej „Odrodzenie".

W dniach 29 i 30 czerwca r. b. odbył się w stolicy pierwszy Zjazd delegatów Ch. Z. M. P. „Odrodzenie".

Od kilku lat wśród senjorów „Odrodzenia" kiełkowała myśl przerzucenia ruchu odrodzeniowego na teren młodzieży fizycznie pracującej. Inicjatorom ruchu odrodzeniowego chodziło o to, aby młodzież robotniczą zaciągnąć pod sztandary katolickie, zmobilizować ją do pracy w myśl ideałów chrześcijańsko-społecznych, zahartować do walki z zakusami socjalizmu i komunizmu. W miarę upływu czasu myśli senjorów „Odrodzenia" skrystalizowały się w czynach: przed dwoma laty z inicjatywy kilku senjorów zorga-

nizowane zostały dwa koła młodzieży pracującej „Odrodzenie” w Warszawie: jedno męskie i jedno żeńskie. Rzucone hasło organizowania młodzieży robotniczej na podstawach katolicko-społecznych znalazło silny odzew w kraju. W ciągu 2-ch lat powstało około 20 kół „Odrodzenia” w Łodzi, Zawierciu, Pruszkowie, Zduńskiej Woli, Radomiu, Pabjanicach, Zgierzu oraz w szeregu innych miejscowości Rzeczypospolitej.

I Zjazd Delegatów zgromadził licznych przedstawicieli z prowincji. Najsilniej reprezentowana była młodzież robotnicza Łodzi, tego środowiska najbardziej atakowanego przez socjalizm i komunizm. Zjazd rozpoczął się Mszą św., podczas której wielu uczestników zjazdu przystąpiło do Stołu Pańskiego. Mszę św., odprawił ks.prałat Kaczyński dyr. Kat. Aj. Prasowej w kościele św. Marcina poczem wygłosił podniosłe przemówienie o działalności katolickiej wśród młodzieży robotniczej. Po Mszy św. nastąpiło otwarcie Zjazdu w sali przy ul. Rymarskiej 2/4, którego dokonał prezes Rady Nadzorczej Ch Z. M. P. „Odrodzenie”‘ p. Antoni Chaciński, poczem wybrano prezydjum, do którego weszli: p. Antoni Chaciński (przewodniczący), W. Markowska (Warszawa), Z. Pawlak (Łódz), Zubrylin (Łódź), Jabłoński (Zawiercie), Kwasiborski (Pruszków), p. Bogumił Budka (Warszawa) — sekretarz Zjazdu i Wolański (Warszawa). Przemówienia powitalne wygłosili: p. Jerzy Siwecki (St. Młodz. Ak. „Odrodzenie”), St Iłowiecki (Korpor. chrześ.), p. Lisiewicz (Stow. Rob. Chrześ ) Depesze i listy z życzeniami odczytał sekretarz Zjazdu. Po zamknięciu inauguracyjnej części Zjazdu rozpoczęły się obrady.

Na zjeździe wygłoszone zostały cztery referaty: p. *A. Chacińskiego „Czem jest i do czego dąży Ch. Z. M. P. „Odrodzenie”, St. Kaczorowskiego: „Metody pracy w kołach Ch. Z. M. P. „Odrodzenie”, p. B Budki: „Sport a wychowanie chrześcijańskie młodego pokolenia” i p. Ferstera „Działalność sportowa Ch. Z. M. P. „Odrodzenie”.* Referaty stały na wysokim poziomie ideowym i wzbudziły poważne zainteresowanie wśród delegatów. W czasie obrad Zjazdu zjawili się przedstawiciele bratnich organizacji z Jugosławji w towarzystwie ks. red. W. Kneblewskiego i red. M. Przyjemskiego, owacyjnie witani przez przewodniczącego i uczestników Zjazdu. Gości Jugosłowian przedstawił Zjazdowi ks. W. Kneblewski, poczem sekretarz „Prosvetnej Zwezdy” — p. Vinko Zor wygłosił gorące przemówienie, akcentując momenty wspólności

rasowej, religijnej i ideowej młodzieży słoweńskiej z polską młodzieżą „Odrodzenia”.

Wieczorem w pierwszym dniu obrad odbyła się herbatka towarzyska, na której byli obecni przedstawiciele senjorów „Odrodzenia”, serdecznie witani przez uczestników Zjazdu. W czasie herbatki wygłoszono szereg przemówień, w których podniesiono doniosłość braterskiej współpracy młodej inteligencji katolickiej z młodzieżą robotniczą oraz podkreślono, że największym wrogiem cywilizacji chrześcijańskiej jest socjalizm i komunizm. W dniu drugim uczestnicy Zjazdu byli obecni na zawodach sportowych, zorganizowanych przez Warszawski Klub Sportowy „Odrodzenia” i mogli stwierdzić jego wysoką klasę sportową.

Na Zjeździe dokonano wyborów do Centralnego Komitetu Wykonawczego naczelnej władzy Ch. Z. M. P. „Odrodzenie”. *Do C. K. W. weszli: pp. A. Chaciński (prezes), St. Kaczorowski (wiceprezes), Ks. prałat Kaczyński, W. Markowska, L. Lewiński, radny St. Spasiński, Ferster, J. Cyrański, Z. Elmrich, H. Piechotkówna, ławnik Adamski, F. Kwasiborski, i J. Jabłoński.*

*Do Centralnej Komisji Rewizyjnej weszli: radny Kosmaczewski, radny Pawlak i p. Budka.*

Zjazd uchwalił wysłać depesze hołdownicze do Ojca Św., Prezydenta Rzeczypospolitej, ks. Prymasa kardynała Hlonda, ks. Kardynała Kakowskiego oraz depeszę do Ignacego Paderewskiego z okazji dziesięciolecia Traktatu Wersalskiego. Przesłano również depeszę do Zarządu Głównego Zw. Senjorów „Odrodzenia” i do Komitetu Wykonawczego Stow. kat. Młod. „Odrodzenie” we Lwowie.

Obok szeregu rezolucji wewnętrzno-organizacyjnych Zjazd powziął następujące rezolucje zewnętrzne:

## Rezolucje Zjazdu:

1. Pierwszy Zjazd delegatów Ch. Z. M. P. „Odrodzenie” podkreśla zasadę, iż pomyślność narodu i dobrobyt jego warstw pracujących osiągnięte być mogą *tylko w oparciu o zasady katolickie, w myśl szczytnych haseł, wysuniętych w wiekopomnej encyklice „Rerum Novarum”* i innych wskazaniach Kościoła Katolickiego.

2. Pierwszy Zjazd delegatów Ch. Z. M. P. „Odrodzenie” *przeciwstawia się z całą energją w imieniu szerokich rzesz mło-*

*dzieży robotniczej zgubnemu programowi antyreligijnemu masonerji i pokrewnych jej duchem organizacji oraz stwierdza, że polska młodzież pracująca nie ustanie w walce o katolicki charakter państwa, rodziny, szkoły i innych instytucji życia publicznego.*

3. Zjazd protestuje z największem oburzeniem przeciwko haniebnej profanacji, której dopuściła się młodzież żydowska wobec procesji Bożego Ciała we Lwowie, podkreślając w ten sposób solidarność młodzieży robotniczej i akademickiej w obronie ideałów religijnych i narodowych.

4. *Zjazd proklamuje solidarność i współpracę młodzieży pracującej fizycznie z młodzieżą pracującą umysłową w celu systematycznego prowadzenia pracy społecznej, realizowania zasad sprawiedliwości chrześcijańkiej, wzajemnej pomocy moralnej i materjalnej oraz czynnego życiowego przeciwstawienia się groźnej dla kraju propagandzie socjalistyczno-komunistycznej i wywrotowej oraz wzywa szerokie rzesze młodzieży i pokrewne organizacje* do współpracy pod sztandarami Ch. Z. M. P. „Odrodzenie".

5. *Zjazd śle braterskie pozdrowienia robotnikom zrzeszonym w organizacjach chrześcijańsko-społecznych* i zapewnia ich, iż w walce o realizację sprawiedliwości ideowej i społecznej wiernie towarzyszyć im będzie.

6. Zjazd wzywa wszystkie koła Ch. Z. M. P. „Odrodzenie" do jaknajściślejszego kontaktu *z Chrześcijańskim Uniwersytetem Robotniczym.*

7. *Zjazd przesyła wyrazy uznania twórcom i przywódcom ruchu chrześcijańsko-społecznego za ich trud i pracę w kierunku wychowania mas pracujących w miłości dla Kościoła i Narodu.*

* * *

Szybki rozrost organizacji na terenie b. kongresówki, powstawanie coraz to nowych kół, liczny przyjazd delegatów na Zjazd nawet z bardzo odległych miejscowości, poważny, a równocześnie pełen głębokiego entuzjazmu nastrój, panujący na zjeździe — wszystko to napawa nadzieją, że powstała nie tak dawno gałęź ruchu odrodzeniowego na terenie młodzieży robotniczej rozwinie się w krótkim czasie w ruch silny i potężny, umiejący przeciwstawiać się skutecznie groźnemu zalewowi socjal-komunizmu.

# SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

**Ks. Dr. Józef Lubelski: Etyka Katolicka. Podręcznik dla szkół średnich. Wydanie drugie. Tarnów: Nakładem Autora. 1929 r.**

Jest to, rzec można, popularny skrót Teologji Moralnej fundamentalnej i specjalnej, omawia bowiem wszystkie zagadnienia z zakresu tej nauki.

Doskonały podręcznik szkolny dla uczniów klas wyższych, odpowiednio przygotowanych w latach poprzednich studjów nauki religji do scalenia zdobytych wiadomości katechizmowych i wyciągnięcia najpraktyczniejszych wskazań życiowych na wyjście w świat, oraz urobienia światopoglądu, zdolnego regulować najrozmaitsze przeżycia młodej duszy i dać do ręki młodzieży broń przeciwko fałszywym nowoczesnym teorjom z dziedziny etyki o przeróżnych zabarwieniach.

Budowa omawianego podręcznika jest doskonale dostosowana do metod szkolnych, dając przez to nie tylko wiadomości ale też i ułatwienie przyswojenia ich przez ćwiczenia, podane w końcu każdej lekcji.

Przejrzystość materjału Autor ułatwił podkreślając ważniejsze działy i myśli tłustym drukiem i podziałem na punkty. Dobrem też uzupełnieniem podręcznika jest podana na końcu literatura do nauki Etyki i wiadomości pokrewnych.

Szkoda, że szczupłość rozmiarów podręcznika nie pozwoliły Autorowi rozwinąć niektórych kwestyi obszerniej. Mogłoby to być tylko polecone uczniom do przyczytania prywatnego, by nie potrzebowali szperać po innych dziełach lub nie mając zachęty całkiem to zlekceważyli. Do takich kwestyj odniósłbym tak doniosłą w naszych czasach sprawę: „Walki klas?“ Obszerniejsze wiadomości o Socjaliźmie, jego szkic historyczny i odmiany aż do anarchizmu; uzasadnienie nierozerwalności małżeństwa; zagadnienie powołania nie pomijając zakonnego, tak arcyspołecznego czynnika. Chyba przeoczył Autor mówiąc o popędzie płciowym—onanizm, który jest istną plagą, często wypływającą z nieświadomości młodzieży o jego złości moralnej i o zgubnych skutkach umysłowo-fizycznych, oraz o środkach zaradczych.

Niezbyt obciążyłaby podręcznik krótka wzmianka o praktykach religijnych i niektórych bractwach, tak przez Kościół polecanych. Przykłady biblijne i historyczne bardzoby się przyczyniły do ożywienia poszczególnych lekcyi.

Należy życzyć Autorowi i Jego pracy, by ci, którym On ją dedykuje ocenili Jego troskliwość o ich życiową etykę katolicką i przez to sprawili Mu najwyższą radość duchową, zaś Księża Prefekci i Katecheci wprowadzając ten podręcznik w szkołach złożyli uznanie pracy metodycznej i przyczynili się do jej rozpowszechnienia. **Ks. Al. Bołtuć, M. I. C.**

Kosów, dnia 27-VI. 1929 r.

**Lhande S.J. Le Christ dans la Banlieue. Plon. Paris, 8 rue Garancière.** — 15 fr. — 244 str. i plan miasta Paryża z przedmieściami. — 105! wydanie.

W. O. Lhande zebrał materjały o ruchu religijnym na Krańcach Paryża w środowiskach robotniczych — t. zw. śmieciarzy-gałganiarzy — „chiffonniers"—i podał wpierw w artykułach „Etudes", a później w wydaniu książkowem. Mowa w nich o przezacnych kapłanach, zakonnikach i apostołach świeckich, i o duszach nędzarzy życiowych, którzy czekają na serdeczną opiekę społeczną i wdzięczni są za nią.. Na początek, niektórzy z nich darzą kapłana kamykiem w twarz... Kamyk ten, raniąc, staje się kamieniem węgielnym przyszłej kaplicy wśród tych bezdomnych i nieszczęśliwych... Nie znają nawet swej niedoli moralnej! Patrząc na fotografje ich, zauważamy wszędzie humor, wesołość, w rysach twarzy, a pewną grację w osobie fizycznej. Jak to u Francuzów, umieją pokryć swą biedę płaszczykiem elegancji i temperamentu. Pracują i walczą, a ksiądz dobry jest im bardzo pożądany. Sami budują mu kaplice i dom. Chcą mieć własną parafję — notre paroisse á nous!

Warszawa i każde wielkie miasto Polski ma podobne „Przedmieścia". Gdybyż i u nas zrobił się ruch z bogatych parafij w śródmieściu ku tym stacjom prawdziwie misyjnym! Nietylko młodzi, wykwintni kapelanowie, wikarzy, lecz i starsi księża porzucają swe wygodne pielesze, by iść do wydziedziczonych i żyć jako jeden z nich. Myślę, że arcybiskup paryski ma dużo zbudowania ze strony swego kleru... Nie wybiera, lecz proponuje placówki przedmiejskie, a zdecydowanych żegna, jako najmilszych misjonarzy, Życie ich—cudne jest. Zdzierają się szybko — zarzucając własne — czując. że tyle ich, co miłości.

Pojęli prawdę życia.. radość życia! **K. B.**

**Lhande, L'Evangile par. dessus les toits. Radio-Sermons, 1927—Le Bon Pasteur, Radio-Carême 1928. Edit. Spes. Paris. 17 rue Soufflot.** — Coby powiedział św. Franciszek z Asyżu mówiący do ptaków i ryb swym językiem miłości Pana Boga, gdyby dziś stanął przed mikrofonem? Z pewnością korzystałby z niego, by śpiewać przed nim, na falach eteru, swe gorące pieśni duszy o dobroci, o ubóstwie, o cnocie wszelkiej, wyrosłej z pnia Caritas.

Zastepuje Świętego dziś gorliwy Apostoł Paryski: W. O. Lhande i schodzi do stacji radjowej, umieszczonej w Paryżu w podziemiach, by głosić swe pogadanki kazaniowe, zaczynając i kończąc wielkim, głośnym znakiem Krzyża Świętego.

Gdybyż to u nas!.. I ma O. Lh. więcej słuchaczy niż Asyski Franciszek i łowi swemi konferencjami więcej dusz ludzkich, niż nauki w kościołach... bo słuchają go i ci, co do kościoła iść nie mogą lub—nie chcą...

O zainteresowaniu się radjem religijnem świadczą komunikaty sprawozdawcze prasy i to nietylko prasy katolickiej,.

U nas? Może już nie wszystkie stacje mają w programie wykłady religijne — a mogłyby dawać kursa apologetyczne na tych samych prawach, jak — kurs języków, gry w szachy... Na tych **samych** prawach?! Zestawienie — niegodziwe! Chyba na — wyższych!?.

Nie dadzą ich nam — jeśli ich nie przypomniemy — jeśli z nich nie skorzystamy..

O. Lh. wypowiedział (i drukował) 2 serje kazań w radjo: 1927 — od 2 stycznia i post 1928. „Jamais orateur catholique n'aura eu un pareil auditoire!" Mówca katolicki nie miał dotąd podobnego audytorjum!...

Obudził się — przeciwnik! przygotowano zatem mównicę radjową — w Londynie.. dokąd O. Lh. miał zamiar udawać się samolotem.

Konferencje mają formę pogadanek. Spróbowano z kazaniami, ale wrócono do tamtych. Głoszą je w niedziele w południe. Ale to może drobiazg mniej znaczny.

Inteligencja, robotnicy nasi — wszyscy członkowie Kościoła, dopraszamy się wiedzy religijnej — metodycznej, pogłębionej, na poziomie innych dziedzin naszego wykształcenia. Da je uniwersytet ze swą katedrą teologji, udostępnioną dla laików, da ją także — radjo dobroczynne i złoczynne — trochę to—od nas zależy. Odkrywając ludziom tajemnice przyrody, jakiem jest radjo, miał P. Bóg w planie—to pierwsze i czeka, byśmy tę Jego świętą wolę — pełnili..

Może przyjść i tutaj godzina — oporu! Czemu nie korzystać — póki czas? **K. Berkanówna.**

**G. Goyau. Mère Javonhey: Apotre des Noirs. Paris, Plon, 8 rue Garanciere, 12 fr.**

Król Filip Francuski nazwał tę dzielną misjonarkę swoich kolonij— wielkim człowiekiem! Zmarła 1848 r. i była założycielką Zgromadzenia SS. Józefitek w Cluny. Czasem mówimy o wybitnej kobiecie, że ma umysł męski. Zdaje się jednak że to nie jest słuszne. Jeśli kobieta wypracuje w sobie—**człowieka**, tak samo, jak mężczyzna — i stanie na platformie sprawiedliwości—to jest tylko sobą. Czasem nie przypuszczamy, ile w nas energij złożonych, bo albo ich nie używamy, albo też uniemożliwiono nam ruchy.

Matka Javonhey zaznała tego drugiego pod dostatkiem. Miała oparcie u władz państwowych, które parła do pracy katolickiej, w czasach jaknajbardziej tej ostatniej nieprzychylnej... Ale to był—wielki człowiek i dlatego z męstwem przeprowadzała idee Boże na ziemi. Trudności chowała sobie zazdrośnie do zanadrza, by apostolstwo swoje wspierać cierpieniem, i nadal realizowała idee Boże na ziemi. Murzyni, nie słuchający „Białych", ją czcili jak Matkę i na nią głos dali przy urzędowych wyborach — co było zgoła rzeczą niepraktykowaną—równouprawnienia nie znano wówczas!.. M. Javonhey pchnęła sprawę misyjną o kilkadziesiąt lat naprzód!

**K. B.**

**Wydawnictwa bibljoteki „Młodzieży Misyjnej".** Dział literatury misyjnej wzbogaciły ostatnio niewielkie mimo to ciekawe, książeczki wydawnictwa Bibljoteki Młodzieży Misyjnej". Dotychczas wyszły cztery tomiki z których każdy stanowi oddzielną całość.

Czytelnik dowie się i o poświęceniu bohaterskiem misjonarza O. rebeufa,—„Przysięga Wodza Huronów" gdzie na tle dzikiej i tajemniczej głębi puszczy Ameryki Północnej, zarysowuje się przed oczami siła ducha

apostolskiego, pracującego nad uszlachetnieniem i zbawieniem dzikich plemion Indjan.

Dowie się i o tem, jakie były początki chrześcijaństwa w Japonji;— powieść historyczna „Książę z Kin-Sin“, której bohaterem jest młody, japoński książę Sikatora, młodzieniec co chętnie się wyrzeka korony królewskiej, dla skarbu Chrystusowej wiary.

Piękną też powieścią jest książka p. t. „**Bracia Koreańscy**“—jest to powieść z misji w Korei. Przedstawia nam w interesujący sposób zaprowadzenie wiary Chrystusowej w odległej krainie wschodu. Nie może się tam dostać żaden misjonarz,—wśród koreańczyków są jednak duchy szukające prawdy. Mulutki katechizm znajdujący się tam przypadkowo sprawia, że młody mandaryn udaje się do Pekinu, jako towarzysz przy poselstwie. Tam potajemnie przyjmuje chrzest od Franciszkanów, a po powrocie do ojczyzny zakłada gminę chrześcijańską.

Książeczka p. t. „**Światłość niećmy**“ jest przeznaczona na obchody misyjne. Zawiera zbiór odczytów, pięknych poezyj i śpiewów. Z tych przebija jedna myśl.—Wśród bliźnich swoich, czy tu, czy na dalekich misjach, światłość nauki Chrystusowej niećmy!

Książeczki te, zarówno ze względu na zaciekawiającą treść, jak i na rodzaj powinna posiadać każda katolicka rodzina.

Cena każdego tomiku wynosi: 1 zł. 50 gr., niektóre są tańsze.

P. R.

Franciszek Kabe: **Karol Antoniewicz, wielki apostoł na ziemiach polskich. (1807 — 1852).** Sandomierz, 1928. Nakładem autora. Str. 34. Cena 1 zł.

Nowa sylwetka ks. Karola Antoniewicza pióra Franciszka Kabe'go nie jest owocem jakichś najnowszych poszukiwań, nie przynosi o nim wiadomości nieznanych, ale ukazanie się jej nie jest bynajmniej zbyteczne, ponieważ postać tego misjonarza ludu polskiego i poskromiciela rzezi galicyjskiej godzi się stawiać przed oczy młodzieży naszej jaknajczęściej. Autor w prostych słowach opowiada o życiu ks. Antoniewicza, cytując jego poezje, na wstępie tylko zaraz popełnia pewien błąd.

„Niemal pięćdziesiąt lat — pisze tam — upłynęło od śmierci wielkiego apostoła Małopolski, Wielkopolski i Śląska, zanim literatura polska doczekała się obszerniejszego i źródłowego życiorysu jednego z największych kaznodziejów i kapłanów na ziemiach polskich", tymczasem biografia taka ukazała się już w osiem lat po śmierci ks. Antoniewicza. Nią właśnie było „Wspomnienie o życiu i pismach ks. Karola Antoniewicza" ks Ignacego Polkowskiego, wydane w Warszawie w 1861 r.

Usterka ta — to nic dziwnego, ponieważ obszerna książka wymienionego autora jest rzadkością. J. M. Ch.